

Natasza Goerke

47 na odlew

Kiedy się obudził,

dinozaur wciąż jeszcze tam był

Augusto Monterroso

Powoli, gest za gestem i uśmiech za uśmiechem, zbliżaliśmy się ku temu, co

niechybnie uwieńczyć miało nasz

osobliwy taniec. Dziewczyna zgasiła papierosa i głaszcząc się po szyi, mętnym

wzrokiem gapiała się w przestrzeń

ponad moim ciemieniem. Co do mnie, od samego początku wzrok wlepiąłem w

koniuszek jej ucha. Była naga, ale

przysięgam, nie umiałbym powiedzieć, czy piersi miała duże czy małe, i czy w

ogóle miała. Owa nagość bowiem

zdawała się spowijać ją niczym zmyślnie utkany szal. Nie znałem też jej imienia.

Albo inaczej: od początku

wiedziałem, że na imię ma Aveda, ale nie wiem, skąd to wiedziałem. Być może z

przeszłości, spotykamy się przecież

zawsze ponownie. Być może mieszkaliśmy kiedyś na Dekanie i pewnego poranka trzy

tysiące lat temu zbuntowała się

przeciw aryjskiej kosmologii i stworzyła własny, awedyjski porządek. Być może

jednak po prostu sam ją tak

nazwałem, na przykład podczas kąpieli lub siedząc na sedesie i rytualnie

studiując etykiety kosmetyków od

przyjaciółki z New Jersey. Być może. Nadawanie imion to w końcu ulubiona

czynność bogów i zakochanych.

Jakkolwiek byłem, przykuty wzrokiem do jej twarzy obracałem w spoconych palcach
zapałkę i czekałem na
słowo. Ale
Aveda milczała. Milczała tak od nieskończoności, a twarz jej, spopielale ruiny
Pompei, pozwalała mi
przeczuwać sprośność czających się pod popiołem fresków. Uśmiechnąłem się do
swych myśli. W tej samej chwili
Aveda przestała głaskać swą szyję, wyrzuciła ramiona nad głowę i przeciągając
się z wyuzdaną lubością, koniuszkiem
języka przesunęła po górnej wardze. Drżącą dłonią... ach, w normalnych warunkach
drżącą dłonią startłbym pewnie
kroplę potu spływającą z pulsującej skroni, jednak warunki nie były normalne i
wszystkie moje nerwy w jednej
jedynej chwili sparaliżował potworny wrzask. Wrzask ów dobył się z mojego
gardła, a przyczyną wrzasku był język.
Tak, język. Szarozielony, pokryty łuską język wysuwał się z ust Avedy - zsunął
się po jej brodzie i pełzając po stole
niczym ogon gada, zmierzał ku mej bezwładnej dłoni. Kropla potu zastygła w pół
czoła, a ja, zsuwając się z krzesła w
miarę sunięcia języka, bezwładną dłonią pociągnąłem za sobą sznurek zwisających
od sufitu dzwoneczków. I cały
wszechświat rozdzwonił się niczym kosmiczny kulig. Ding ding - ding ding - ding
ding... Ogluszony dzwonieniem,
zsuwałem się coraz niżej i niżej, i niżej -
Przykryłem głowę poduszką, jednak dzwonienie - upiorne dzieło geniusza tortur
potężniejszych od kropli
wody - nie milkło. Gdybym miał żonę, kochankę lub choćby kota, cały ten koszmar

trwałby o wiele krócej. Ale nie
miałem. Leżałem więc skulony pod pościelą, zagubiony w przywidzeniach i głuchy
na fakt tak oczywisty, jak dzwonek
budzika. Nie budzik zresztą obudził mnie tego piątkowego poranka, lecz
śmiecniarka, której ostre światło ślizgało się
po mojej kołdrze tak natrętnie, że otworzyłem oczy i wyłączyłem w końcu budzik.
Było kwadrans po jedenastej.
Nie pracowałem, a więc nie musiałem wychodzić do pracy. Może dlatego właśnie nie
miałem żony ani
kochanki? Choć kto wie, mogło być też akurat na odwrót. Życie wiodłem w każdym
razie samotne, single, jak to się
zwykło określać w statystykach. Byłem czterdziestokilkuletnim singlem i nic nie
wróżyło w tym względzie zmiany, tym
bardziej że - uwaga - byłem singlem pozbawionym jakichkolwiek wymiernych
zdolności. Nie znaczy to oczywiście, że
byłem głupcem, ba, wręcz przeciwnie: uważałem siebie za człowieka Renesansu, z
tym może zastrzeżeniem, że w
żadnej z praktykowanych dziedzin nie osiągałem perfekcji. Syndrom nadgryzionych
kanapek, powiedziała kiedyś była
narzeczona i przyznaję, bliska była prawdy. Nie wiedziała tylko o jednym, o tym
mianowicie, że rzeczona
połowiczność moich działań wynikała z mej wyobraźni. Cóż, niektórzy muszą zjeść
cały befsztyk, by płakać w obliczu
krowy. Ja płakałem po pierwszych kęsach. Było kwadrans po jedenastej.
Wstałem z łóżka, włączyłem starą płytę Psychic TV i nie wiedzieć dlaczego
zatęskniłem nagle za Hamburgiem.
Dziwne. Odwiedziłem to miasto trzykrotnie i z każdą kolejną wizytą wydawało mi

się ono bardziej martwe. Pamiętam
ulicę, która ponoć jest główną, Mönckebergstrasse. Nazwa tej ulicy brzmi
adekwatnie do jej aparycji;
poprowadzono mnie tam z dumą któregoś południa. Szedłem więc dziesięć minut
Mönckebergstrasse i jedynym
nieprzewidywalnym urozmaiceniem spaceru były wystające z chodnika spółgłoski. Za
to wszystkie kobiety,
niezależnie od kategorii, wyglądały dokładnie tak samo. Gładko uczesane
walkirie, wielkozębne sekretarki z
obnażonymi pępkami, bezzębne bezdomne. I rosyjscy muzycy z sanktpetersburskich
oper - „Wołga Wołga, Wołga
uber alles". Są sytuacje, w których tęsknota silniejsza jest od
rozumu. Doszliśmy jednak wkrótce do portu, bo przejście całej Mönckebergstrasse
zajmuje nie więcej niż
dziesięć minut. „Elbę Elbę", zatem. „Es lebe Freie Hansestadt Hamburg". Dziwne
hanzeatyckie miasto, w którym - jak
zauważył jeden z moich przyjaciół - da się żyć, choć tak naprawdę to psy
szczekają tam dupami, i które Beatlesów
skłoniło do nagrania po niemiecku trzech żenujących piosenek. „Się liebt dich,
ooooo, się liebt dich".
Mój hamburski przyjaciel mieszkał w dzielnicy zwanej Altona. To on właśnie
zabrał mnie, za moją namową,
na koncert Psychic TV. Był to koncert niedobry, i czułem to, choć nie wiedziałem
jeszcze o skandalu, który wywołał
wokalista grupy, Genesis OTorridge. Ponoć deprawował on małolaty i sprawa
zakończyła się w brytyjskim sądzie.
No cóż. Deprawował czy nie, muzyka była fatalna, a półgoła baba przebrana za

piekielną dominę bynajmniej nie
poruszyła mej wyobraźni. Może jednak nie Genesis O'Torridge był temu winien, ale
moje buty? Bo kupiłem przed
koncertem buty. Na Monckebergstrasse. Wielkie, czarne buty firmy Dr Martens,
sznurowane do kostki, w tamtych
czasach bez mała obowiązujące. Buty te obcierały niemiłosiernie i z kostek
spływała mi krew. Wyglądałem bez
wątpienia cool, ale biczowanie dominy odbierałem chyba zbyt personalnie.
Nie mieszkalem nigdy z kobietą.
Wyłączyłem Psychic TV i nastawiłem Brahmsa w wykonaniu Yo-Yo My. Rewelacja. Pod
wpływem Yo-Yo
My i Brahmsa wygrzebałem się z łóżka, wykonałem w drodze do kuchni kilka
podstawowych ćwiczeń tai chi i -
HUO-HOU-HUOO-U! - pohukując bojowo, zręcznym ruchem stopy otworzyłem lodówkę.
Prócz skamieniałej
kostki smalca w lodówce była tylko rolka filmu, krem przeciw zmarszczkom oraz
szampon dla
brunetek z dodatkiem ekstraktu z henny. Krem i szampon należały do kobiety,
która nigdy wprawdzie nie
należała do mnie, ale u stóp której złożyłem trzy lata, trzy miesiące i trzy dni
swych samounicestwień i
zmartwychwstań. Była ona, ma się rozumieć, mężatką, bo tak się jakoś składało,
że kiedyś zakochiwałem się
wyłącznie w mężatkach. Mój przyjaciel miał na ten temat teorię, ale nigdy się z
nią nie zgodziłem. Czy infantylny
dandys zdolny byłby bowiem do nadludzkich poświęceń? Czy z miłości traciłby
rozum i PEŁZAŁ JAK KRAB?

Pytam raz jeszcze: Pełzałby? Tak, nie wstydzę się tego - straciłem rozum i JAK

KRAB PEŁZAŁEM W OCEANIE

JEJ EGZYSTENCJI. Pięć godzin przed jej przyjściem na przemian zapalałem

papierosa, zmieniałem koszule,

włączałem kasetę Throbbing Gristle, myłem zęby. Wypijałem szklankę koniaku,

myłem zęby, po raz setny się

przebierałem, zasiadałem w fotelu, zapalałem kolejnego papierosa, myłem zęby,

piłowałem obgryziony paznokieć,

wypijałem szklankę koniaku, myłem zęby i zagłuszając myśli muzyką Throbbing

Gristle, rozkładałem na stole książki.

„Życie termitów" Maeterlincka, wiersze Joyce'a, ma się rozumieć Becketta, „Pusty

Obłok" Hsu Yuna, „Feng shui w

każdym domu", „Opowiadania" Edgara Allana Poe i ewentualnie H. Murakamiego. Choć

przyznaję, tego ostatniego

się bałem, bo choć pisarz to wyborny, to japoński i w dodatku żyjący.

Wiarygodność żyjących pisarzy japońskich

była w moich oczach, delikatnie mówiąc, względna - wszak „samuraj postawiony

przed wyborem między śmiercią a

życiem zawsze wybiera śmierć", napisał Yamamoto. Dobry Mi-shima to zatem Mishima

martwy, pomyślał trzysta lat

później japoński pisarz Mishima i popełniwszy seppuku, wiarygodnie zakończył

najlepszą ze swoich książek. W

przeciwieństwie do Mishimy dzielny twórca Kodeksu Samuraja, Yamamoto, po-

dążył nie za własnymi słowami, ale za kuszącą wolą życia i umarł

najnaturalniejszą ze śmierci jako mnich, w

wieku lat sześćdziesięciu i jeden. Tak, przyznaje, z niepokojem patrzyłem na jej

zachwył H. Murakamim. Dlaczego

żony w jego książkach kroją marchewkę do zupy miso niezmiennie ostrymi nożami?
Co kryje się pod obsesyjnym
myciem ścian w li-ving-roomach? Jaki cel ma ćwiczenie na basenach mięśni
brzucha? Boże, nie umiałem nawet
pływać i nie cierpiałem basenów, ale ona pod wpływem H. Murakamiego kupiła sobie
czepek kąpielowy i całymi
godzinami przesiadywała w tym czepku w wannie. Nic więc dziwnego, że nie
chciałem, by zbyt ją urzekła złożoność
japońskiej duszy. Japonia bowiem budziła we mnie uczucia ambiwalentne.
Jednoznaczna za to odrazą napawał mnie Tybet, który ona darzyła czystą, lecz
nieszkodliwą sympatią. Nie
była na szczęście buddystką i kochaliśmy się zupełnie normalnie. Moja poprzednia
przyjaciółka bowiem buddystką
była. Czas seksu zależał od pozycji Księżyca w stosunku do Ziemi, a większość
naszych własnych pozycji, niestety,
była zakazana niezależnie od położenia Księżyca. Seks oralny na przykład,
niemożliwy nawet w Pełni. Straszne.
Pamiętam, próbowałem jej coś tłumaczyć, ale ona wiedziała swoje: Piorun wchodzi
do Dzwona. Koniec, kropka.
Piorun i Dzwon, narządy tantryczne. Ja jednak miałem narząd nie tyle tantryczny,
co płciowy, więc związek nasz
przetrwał miesiąc. Był to najdziwniejszy miesiąc mego życia i wiem dziś na
pewno, że prędzej bym przepłynął trzy
długości japońskiego basenu, niż pojechał kiedykolwiek do Tybetu.
Dochodziło południe.
W skupieniu dokonałem ceremonii golenia, założyłem koszulę w maki i wyskubawszy
trzy siwe włosy z

prawej dziurki 10

nosa, włączyłem na chwilę radio. Trzeba wiedzieć, co się dzieje w świecie. Ale w świecie nie działo się nic.

Wyłączywszy radio, nastawiłem więc płytę mongolskiej grupy Huun-Huur-Tu „60 Horses In My Herd” i zapatrzyłem

się na paproć. Paproć była birmańska. Podarował mi ją kiedyś sam Mister Lee, mistrz medycyny chińskiej, który

moje nocne moczenia wyleczył niegdyś za pomocą żywicy i tygrysich

penisów. Mister Lee rozpoznał naturę materii,

żył w celibacie i swą absolutną miłością darzył wszelkie istnienie, od kobiety

po bakterię. Najbardziej jednak umiłował

rośliny. Wiem, czego się po nich spodziewać, powtarzał ze śmiechem, a śmiech ten

porywał tłumy. Może dlatego

wszyscy w owym czasie hodowaliśmy kwiaty? Moja paproć była kwiatem nad kwiatami,

kwiatem doskonałym.

Czekała na mnie, gdy wracałem do domu, uśmiechała się czule z parapetu, nie

stawiała pytań. Podarował mi ją osobi-

ście Mister Lee.

- Oto twoja birmańska paproć, roślina szczęścia, kwiat, który jonizuje powietrze

i oczyszcza umysł z

przeszkadzających emocji - powiedział.

Wpatrzony w paproć, rozluźniłem przepoń, usta złożyłem w ryjek i w słodkim

oczekiwaniu wsłuchiwałem się

w ciszę, z której miał się wyłonić tętent sześćdziesięciu mongolskich koni. Z

ciszy jednak nie wyłaniało się nic,

przeniósłem więc wzrok na płytę i stwierdziłem, że Mongołowie wkroczyli już w

drugą połowę „Stepowego Rżenia”!

Ogłupiały nieco podszedłem do gramofonu i w tej samej chwili z nóg zwałił mnie
GŁOS. Był to głos na równi potężny
i straszny, głos, który zawsze i wszędzie rozpoznam, głos ten bowiem przez
wiele, wiele lat, zawsze w czwartki,
straszył mnie przed zaśnięciem piosenką o Pszczółce Mai. Głos ów, Goldene Stimme
aus Prag, należał do niejakiego
Karela Gotta, Czecha z Pragi, która też

11

ponoć była złota. Czech ów z tajemnych względów śpiewał w języku Goethego.
Zresztą, niechby i śpiewał w
języku Kier-kegaard, nie moja sprawa. Chodziło o to, że śpiewał on potwornie i
że przez niego znienawidziłem na
całe lata pszczoły. Nienawiść do pszczoł, na szczęście, przeszła mi z wiekiem, a
Goldene Stimme aus Prag
zepchnąłem na dno pamięci, tak jak spycha się wspomnienia traumatycznego
dzieciństwa.

Dlaczego jednak Kareł Gott pojawił się PONOWNIE??? Niczym tort z marcepana i
pianki, pokryty
poziomkową polewą, ozdobiony małpkami z lukru i wieżyczkami z bitej śmietany. A
nad tortem - BZZZZZ - Biene
Maya, Maaaaya, Maaaaaaaya!... Gdzie Mongołowie, zdążyłem pomyśleć i zemdlałem.
Gdy otworzyłem oczy, zegar na ścianie wskazywał kwadrans po dziewiątej.
Leżałem na podłodze, bolały mnie nerki i głowa, księżyc zwisał nad sąsiednim
dachem jak balon. Od zawsze
czułem, że granica między zdrowiem a obłądem jest niebezpiecznie mglista i
zdarzało mi się ją przekraczać całkiem
nieświadomie. Pamiętam pewien wieczór, było to w styczniu, dokładniej mówiąc,

pierwszego dnia stycznia.

Przechodziłem w owym czasie przez szereg przełomowych w moim rozwoju doświadczeń:

rzuciłem palenie, zmieniłem

markę obuwia z topornych martensów na lekko frywolne buty typu callypso i

odkrywać zacząłem bezpretensjonalny

urok piosenek Neila Younga. Opuściła mnie też kolejna kobieta, studentka

stomatologii, z którą wspólnie

zamierzaliśmy uciec. Dokąd - nie wiedzieliśmy, ale wiedzieliśmy od czego. Ona od

mamy, ja od siebie, a może było

na odwrót, nie pamiętam. Pomysł ten, w każdym razie, zrealizować zdołaliśmy

częściowo, znaczy się, ona od

12

mamy rzeczywiście uciekła, ja pozostałem jednak przy sobie. Była to decyzja

mniej bolesna niż słuszna, a na

pożegnanie dostałem w prezencie płytę PJ Harvey. Nie wiem, dlaczego kobiety przy

rozstaniu obdarowują mężczyzn

płytą P J Harvey, ale nie zdarzyło się to po raz pierwszy i zdarzyło się nie

tylko mnie. Jeśli zaś chodzi o ścisłość, to

przestałem słuchać PJ Ha-rvey z chwilą, gdy poznałem jej stosunek do polowań na

lisy. Nie próbowałem jednak

niczego wyjaśniać. Nastawiłem płytę Neila Younga, założyłem nowe buty i przez

kilka godzin, nie poznając samego

siebie, stepowałem przed lustrem w korytarzu. Był grudzień. Nie tęskniłem za

nikim, wydawałem się sobie silny i

zdrowy i prócz lekkiego klucia w pęcherzu nie doskwierał mi żaden ból. Święta

więc były mi zupełnie obojętne i

spędziłem je z matką, oglądając kilka westernów oraz film Romana Polańskiego

„Wstręt”. Catherine Deneuve była
naprawdę śliczna, choć matka nie podzielała mojego zdania.
- Cała rozczochrana, kudły ma na oczach, brzydkie kolana. I zobacz ten nos,
teraz ma inny, bardziej kształtny
i mniejszy. Ale ja nie patrzyłem na nos Catherine Deneuve. Odkąd ojciec
ostatecznie odszedł po trzydziestu trzech la-
tach powrotów i odejść, miłość do ludzi wyciekła z matki niczym woda z rozbitego
wazonu. Niepokoiło mnie to, ale
niewiele mogłem w tym względzie zaradzić. Przyjmowałem od niej czasami
pieniądze, co niedzielę wpadałem na
obiad, w miarę regularnie dopytywałem się o zdrowie. Wiem, że te drobne gesty
znaczyły dla niej wszystko. Na
nieszczęście byłem jedynakiem, a czym jest brak rodzeństwa, przekonuje się w
pewnym wieku każde nie będące
sierotą dziecko. I każde dziecko przekonuje się z czasem, że coraz bardziej jest
sierotą. Nowy rok powitałem sam,
zwinęty w kłębek pod pluszowym kocem i pogrążony w lekturze „Leksykonu bóstw i
de-
13
monów”. Była to noc bezsprzecznie oczyszczająca. Z ulicy dochodził gwar
podnieconej gawiedzi, a świst
petard i odgłos rozbijanych o trotuar butelek torturował me uszy miałością
karnawału. Nie wiedząc kiedy, zacząłem
zapadać w półsen. Był to stan kreatywny i rzadki, i w takim to właśnie stanie,
ba, wyłącznie w takim stanie, tworzyłem
dzieła, których doskonałość równa była doskonałości kuli. Z nieustraszoną
tygrysa przenikałem obszary swych

najskrytszych lęków, od tych metafizycznych, jak lęk przed nieskończonością, po egzystencjalne, jak mój własny koniec. Trzecim okiem przecucia widziałem nagle siebie - zwiędły kwiat paproci skurczony w kartonie na ulicy miasta, w którym po raz pierwszy sam przeszedłem przez jezdnię i w którym nauczyłem się czytać i pisać. Tak, kochałem to miasto i nigdy nie chciałem go opuścić. Moi przyjaciele wyjeżdżali jeden po drugim, bo to miasto nie było stolicą, ale ja nie dbałem o to, że nie mieszkam w stolicy. Kochałem to miasto, tylko to miasto kochałem. I jego port, i rynek, i minioną świetność zapuszczonych kamienic, kochałem biżuterię z bursztynu, sklepy monopolowe, ławkę w parku, knajpę Zielone Jabłuszko, kochałem tłumy w lipcu i pustkę w listopadzie, kochałem pomniki, zasikane windy, pogniecione twarze przechodniów o świcie i wściekłość młodych kobiet z ogromnymi brzuchami. Kochałem to miasto z bezbronnością prawdziwej miłości i być może dlatego wiedziałem, że to miasto kiedyś mnie pokona. Pobiegnę do kuchni, spojrzę na nóż do krojenia chleba. Oстрым ostrzem noża przejechałem po stole. Yukio Mishima, Yamamoto. O nich wtedy pomyślałem. Prawdziwy samuraj zawsze wybiera życie, uśmiechnąłem się i ukroiłem chleb. Tylko dlatego wtedy nie zginąłem, tylko dlatego. Wybrałem ścieżkę Yamamoto i zostałem sobą. Sobą zostałem, bo zejście

Ze świata za pomocą seppuku równe było końcowi życia, czyli końcowi miłości. Na taki ból nie było mnie

stać, byłem wszak fachowcem od początków.

Minęła druga po południu.

Siedziałem na podłodze, muzyka mojego życia dochodziła do mych uszu z

nieistniejących płyt. Gdyby w moim

mieszkanu znajdowała się kobieta, powiedziałyby:

- Wstawaj, idź i zrób. I załatw to, proszę, dzisiaj. OK?

- OK - powiedziałbym.

I poszedłbym, załatwił. Gdyby powiedziała to kobieta, którą kocham. Chwilami mam wrażenie, że nie

kochałem żadnej kobiety. Owszem, zdarzało mi się pożądać, który mężczyzna nie pożąda. Ale minęła druga po

południu. Kochałem swoje miasto i wyszedłem.

Oślepiło mnie marcowe słońce. W pierwszym odruchu szczone chciałem natychmiast zawrócić, nogi jednak,

na przekór mej woli, poniosły mnie dalej w kierunku głównej ulicy. Szedłem jak zwykle szybko, wielkimi krokami, co

nadawało mojej postaci wyraz zdecydowania. Uświadomiwszy to sobie,

przyspieszyłem jeszcze bardziej. Szczerze

mówiąc, nie bardzo jednak wiedziałem, dokąd idę. Na pewno powinienem kupić chleb. Przeliczyłem w myślach

pieniądze i doszedłem do wniosku, że stać mnie też chyba na kawę, skręciłem

zatem w prawo i udałem się w stronę

Zielonego Jabłuszka. Niebo było błękitne, na gałęziach pojawiły się liście, na

chodnikach wrotkarze. I jak tu negocjować

klimatyczne zmiany? Idąca przede mną dziewczynka z latawcem nuciła wesołą

piosenkę. Kiedyś o tej porze na tysiącach
drzewach krakały wrony, zasy brudnego śnie-

15

gu topniały wzdłuż krawężników, a skulone matrony z głębi swoich futer
przeklinały zżerającą buty sól.

Dziewczynka uniosła się lekko nad ziemią, w słońcu zamigotał latawiec i
powietrze wypełnił bezwstydnie beztroski

śmiech ptaka. Śmiech ten, rodząc zazdrość, boleśnie przeszył mą duszę i zrobiło
mi się bardzo smutno. W pamięci

mojej bowiem odżył nagle inny ptak, wróbel mego nieszczęsnego dzieciństwa,

Elemelek. „Raz wróbelek Elemelek

znalazł w polu kartofelek, nie za duży, nie za mały, do zjedzenia doskonały”.

Wiersz o Elemelku był jedynym

wierszem, który znałem kiedyś na pamięć, towarzyszył mi w drodze do szkoły i
śnił się nocami zamiast innych snów.

Przyznaję, nigdy nie wiedziałem, jak dokładnie wygląda wróbel, nie sądzę, bym i
dziś odróżnił go od innych małych

ptaszków. Myśląc o Elemelku, nie widzę wszak nigdy ptaka. Widzę skute mrozem
pole, martwe bruzdy ziemi i

ciężkie szare niebo nad kreską horyzontu. Otrząsnąłem się z obrzydzeniem.

- Fuck you! - zawołałem po angielsku, gdyż lubiłem ten nieznany mi język. -Fuck
you, Elemelku!

A idąca przede mną dziewczynka z latawcem odwróciła głowę, z politowaniem
zmierzyła mnie wzrokiem i

parsknęła:

- Fuck yourself, zbokolu!

Tak, klimat bardzo się zmienił i stwierdziłem, że przy takiej pogodzie w

Zielonym Jabłuszku na pewno

wystawili na zewnątrz co najmniej jeden stolik.

Toteż rozczarowanie moje nie miało granic, gdy na placyku przed Zielonym

Jabłuszkiem nie ujrzałem stolika,

ale furgonetkę. Z furgonetki kilku mężczyzn wynosiło kartony, a elegancka

brunetka z pasją szorowała drzwi

wejściowe. Podszedłem bliżej. Nad drzwiami, w miejscu rachitycznego neonu

ZIELONE JABŁUSZKO, znajdował

się lśniący, nowiutki szyld: TELEFONY KOMÓRKOWE, KACZUSZKO & KACZUSZKO.

16

- Przepraszam, czy wiecie może państwo, co się stało z lokalem, który przez

dwadzieścia dwa lata znany był

mi jako Zielone Jabłuszko? - zwróciłem się do brunetki.

- O matko, Roman, znowu ten kutas! - jęknęła brunetka i nie przerywając

szorowania, nieoczekiwanie

zaniósła się

płaczem.

Zrobiło mi się przykro. Nigdy nie mogłem znieść płaczu kobiet i nigdy nie

wiedziałem, jak się wtedy

zachować. Przystałem z nogi na nogę.

- Lokalu nie ma, zawsze był sklepik. - Twarz brunetki rozjaśnił nagle uśmiech

ludzi wolnych od sentymentów.

Spojrzała mi śmiało w oczy, a z kapelusza jej odwiecznej pamięci wylatywać jęły

słowa obdarzone skrzydłami.

- Mieć albo nie mieć, oto jest pytanie! - zawołała. Ścierkę wrzuciła do wiadra i

wzlatując ponad łaskawe

granice rozumu, uraczyła mnie mądrością sklepikarzy: - Przez komórkę do ciała -

dzwonię, więc jestem - Nokia w

Zjednoczonym Królestwie - ten płacze, kto się dowie ostatni - przeminęło z

kablem - z głuchego i Salomon nie

usłyszysz - jak trwoga to do Kołyszki - wszystko w Rzymie ma swą cenę - kto

pierwszy poczuje, temu się z dupy snuje

-

Brunetka zamilkła speszona, a w oczach jej ponownie pojawiły się łzy.

- Nie, tylko nie to, tylko proszę nie płakać! - zawołałem przerażony i pragnąc

ją rozśmieszyć, czym prędzej

zrobiłem króliczka. Króliczek, trzy przednie zęby wysunięte nad dolną wargą, z

niepojętych względów zawsze

rozładowywał napięte sytuacje z kobietami. Na twarzy brunetki pojawił się

głupkowaty uśmiech, po chwili jednak

oczy jej ponownie się zaszkliły.

- Proszę pani, natychmiast proszę przestać płakać! - zażądałem zatem i ciepłym,

stanowczym głosem

dochodzącym

17

z brzucha zapewniłem: - Była pani znakomita, nie żartuję, tylko to „Kto pierwszy

poczuje...” przyplątało się

pani z innej bajki. Ale poza tym, naprawdę, rewelacja!

Brunetka z niedowierzaniem rozdziawiła usta; zauważyłem, że brak jej dolnej

jedyńki. Widok ten przedziwnie

mnie zaniepokoił i poczułem nagle, jak fala niewyobrażalnej czułości zalewa mą

rozedrganą duszę. Było to uczucie od

dawna zapomniane, wciąż jednak nie pojmowałem, dlaczego tak wzruszyła mnie luka

w jej uzębieniu. Wszak kiedyś

niemal wszystkie kobiety... Chwileczkę... przecież kiedyś... Tak, KIEDYŚ
przecież... Czy to możliwe?

- Przepraszam, czy moja twarz nic pani nie mówi? - szepnąłem.

Bawiąc się naszyjnikiem, brunetka wlepiła wzrok w furgonetkę.

- Mąż właśnie przyjmuje towar, zapraszamy jutro o dziesiątej - powiedziała
zmęczonym głosem, a ja,

usłyszawszy w jej głosie zmęczenie, przypomniałem sobie nagle wszystko.

Osunąłem się na kolana i JAK KRAB PEŁZAJĄC PO OCEANIE JEJ EGZYSTENCJI całować
zacząłem

jej buty. Odrąciła mnie delikatnie, ja jednak wyczułem w jej geście

przyzwolenie i powstawszy z klęczek, wtuliłem

głowę w jej piersi. Całowałem jej szyję, twarz, włosy, a ona, odpychając

pieszczoty, coraz bardziej im ulegała. Boże,

dlaczego znowu ona, jest przecież tyle kobiet, a ty, kochanie, ty tak naprawdę

niczym się od nich wszystkich nie

różnisz, prócz tego, że znikasz, zanim zdążę się tobą nacieszyć. Od miesięcy nie

umiem się na niczym skupić, niczym

zająć. Mój umysł jest jak zmacona woda, moje myśli nieustannie krążą wokół

ciebie, a im bardziej cię ze mną nie ma,

tym bardziej ja sam staję się tobą. Nonszalancko podchodzę do biurka, siadam,

poprawiając

18

spódniczkę, uśmiecham się tajemniczo i twym drobnym pismem godzinami wypisuję

swoje imię na okładkach

zeszytów. Nawet strach polubiłem, i buraczki, i kretyński zwyczaj wkładania do

kopert wyrwanych wraz z cebulkami

włosów. W samotności ludzie zaczynają lubić dziwne rzeczy.

- Otwieramy jutro o dziesiątej - powiedziała znużonym głosem brunetka i zniknęła za lśniącymi drzwiami skłSpu.

Nigdy nie przepadałem za Zielonym Jabłuszkiem, nic tam w sumie nie mieli i nic się nie działo. Ni pub, ni restauracja, wiecznie obrażona barmanka, przy stolikach pustki - jeden z tych absurdalnych lokali, których sensu istnienia tak naprawdę nigdy nie mogłem zrozumieć. Jednak szkoda, że już go nie będzie, w pewnym sensie przywykłem do zielonego neonu.

Przypomniałem sobie, że dwie ulice dalej mieszka Żrebak i zapragnąłem porozmawiać z nim o likwidacji Zielonego Jabłuszka. Szczerze mówiąc, nie wierzyłem, że go zastanę; odkąd Żrebak został wokalistą grupy Miarowy Szum Muszelek, rzadko bywał w domu. Jego oszałamiająca kariera zaskoczyła mnie bardzo. Owszem, zawsze byłem fanem obscenicznych prowokacji, uwielbiałem jego nieskończenie długie i wyzute z sensu słowotoki. Jednak co jak co, ale nigdy nie przeczuwałem w tej błazenadzie ziarna niebezpiecznych ambicji, Żrebak wszak niczym nie gardził bardziej niż artystycznym establishmentem! Sztuka powinna, powtarzał, rodzić się, rozwijać i żyć w podziemiu, sztuki bowiem nic nie zabija bardziej niżli poklask i dzieńne światło. Choć starszy byłem o półtorej dekady, w zupełności podzielałem jego zdanie - sam nocami pisałem książki, których nikt nie odważał się wydać. A Żrebak nieugięcie spisywał swe słowotoki, których nikt nie odważał się czytać. Wieczorami, broniąc

się przed ostatecznym zgorzknie-

19

niem, z braterską tkliwością czytaliśmy sobie na głos opowiadania Edgara Allana Poe.

Z czasem ze Żrebakiem coś się jednak zaczęło dziać. Przepadać jął na całe tygodnie, a gdy się zjawiał, policzki miał zapadnięte, oczy zaszkłone gorączką, czoło zaś zroszone kropelkami potu. Pomawiałem go już w myślach o suchoty i na wszelki wypadek, tłumacząc się gripą, przystaniałem podczas jego wizyt swą twarz szalem.

Był to szal dziurawy i nonszalancko bezbarwny, szal, który jednak lubiłem, bo wpisane weń było niejako piętno mego własnego losu. Dopiero po roku zrozumiałem, że szal był zbędny, gdyż Żrebak nie nabawił się suchot, lecz w garażu założył teatr. Teatr ów nosił imię Żrebaka, wystawiał jego słowotoki i poniósłszy kilkanaście dramatycznych porażek, rozpadł się wraz z garażem.

s

- Teatr załatwiły kobiety - westchnął Żrebak, a ja, znając destruktywną siłę kobiet, nie musiałem nawet pytać o szczegóły.

Otrząsnąwszy się z klęski teatru, Żrebak założył pismo literackie. Pismo, ma się rozumieć, drukowało jego słowotoki i tylko dlatego nazwane zostało „Stodołą”, że Żrebak stodołę pomylił ze stajnią. Pismo, niestety, upadło wraz z wydaniem pierwszego numeru, a Żrebak z rozpaczony zaczął śpiewać. Cóż, nie oszukujmy się, Żrebak nie ma

słuchu. Gdy więc ze śpiewaniem też nie wyszło, w zrozpaczonym Żrebaku coś pękło.
Stojąc, jak to określił, u progu
artystycznej zapaści, słowotoki swoje wyrzeszczał w duecie z klozetową muszlą,
nagrał na kasetę i kasetę wysłał
telewizji. I to był przełom, okazało się bowiem, że wrzask zdesperowanego
Żrebaka trafił w rynkową lukę. Choć na
południu kraju objawił się rodzimy Jim Morri-son, północ nadal świeciła żenującą
pustką, tak więc, z wyczuciem
godnym McLarena, radośnie powitano narodziny nowego Sida Yiciousa. Okrojony na
miarę oczekiwań, Żrebak

20

w ciągu tygodnia nagrał cztery płyty, wystąpił w sześciu teledy-skach i jako
wokalista grupy Miarowy Szum
Muszelek, podbił serca tysięcy nastolatków.
Żrebak, o dziwo, był w domu. W kalesonach i fraku rozparty na kanapie jadł tartą
marchewkę i bardzo się
ucieszył na
mój widok.

- Bo wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? - zawołał na powitanie. - To, że
chyba zostałem pedofilem.

- A, to ciekawe - odparłem i zająłem miejsce przy stole.

Żrebak zerwał się z kanapy, oddał mi talerzyk i tarmosząc połę fraka, szybkimi
krokami przemierzać jął
pokój. Jako że nie jadłem jeszcze śniadania, ochoczo zabrałem się za konsumpcję
tartej marchewki.

- Cały projekt wymierzony jest w grupę wiekową pomiędzy czwartym a dziewiątym
rokiem życia! - wyrzucił z

siebie nagle Żrebał i zatrzymując się przy krześle, poklepał mnie po ramieniu. -

Jedz, to marchewka z działki, żadnej

chemii, co najwyżej ja sam mogłem ją kiedyś obsikać. I co ty na to?

- Nie sądzę, bym gustował w twoim moczu - powiedziałem ostrożnie i nie wiedząc,

czy żartuje, odstawiłem

talerzyk na

stół.

Żrebał zarżał.

- Stary, w życiu nie byłem na działce, jedz spokojnie. Chodzi mi o to, co ty na

te dzieciaki. Pięciolatki,

sześciolatki. To jest moja publiczność!

- Michael Jackson nie ma starszej - zauważyłem. - A poza tym obcowanie z dziećmi

bywa ponoć inspirujące.

Żrebał parsknął.

- Myślisz? No nie wiem, nie wiem... Bo wiesz, do tej pory był spokój, to były

małolaty, jednak bez przesady.

Ale ostatnio wpadła mi w oko taka jedna, wiesz, mmmm - zakreślił w po-

21

wietrzu kształt kręgla. - Mmmm, mówię ci, stary, poważna sprawa.

- Sześciolatka?

- Niezupełnie. Chodzi do siódmej klasy.

- Poważny wiek.

- Też tak myślę, ale pociesza mnie fakt, że ma dwie młodsze siostry. Może pana

zapoznać?

Naszą rozmowę przerwał dzwonek telefonu i Żrebał, przykładając palec do ust,

wybiegł do kuchni. Za

oknem świeciło słońce; przeniósłem się na fotel i przypomniało mi się nagle

pewne południe przed laty. Miałem za
sobą dwa porzucone po drugim semestrze fakultety, dwie dramatyczne miłości, dwa
lata celibatu i dwie puszki
sojowej fasolki, zostawione na czarną godzinę pod kuchennym stołem. Liczba dwa
zdawała się mnie prześladować i
niepokoiła moją udręczoną pojedyn-czość. Pisałem w dodatku swoją drugą powieść,
która rodziła się w bólach, bo z
przewrotnością mędrca opisać postanowiłem niemożność opisanie. Paradoks tego
wyzwania zakładał
niewykonalność, a zatem nie sama książka okazać się miała dziełem, ale męki
twórczego procesu. Tak, pisanie stało
się moją pasją. Pozbawiony wszak byłem wszelkich innych artystycznych uzdolnień,
nie umiałem rysować, nie grałem
na gitarze, nawet w bębnek nie umiałem porządnie uderzać, bo nie miałem
poczucia rytmu. Uwielbiałem jednak
towarzystwo artystów i w głębi duszy czułem się jednym z nich. Kawalerka, którą
podarował mi niegdyś ojciec,
zawsze tętniła życiem, to tutaj powstawały manifesty i muzyczne pomysły,
projekty happeningów, szablony nowych
graffiti, wiersze i to wszystko, co zwie się sztuką spontaniczną. Działalem, jak
powiadano, wielce inspirująco, jednak
rola muzy mnie nie satysfakcjonowała. Dlatego właśnie zacząłem pisać. Moja
pierwsza książka, „Po-22
i Ulana na Batorym”, była dwustronicowym monolo-m wewnętrznym zapisanym w
tradycjiNjoyce'a i
traktowała efównie jako warsztatową wprawkę. Dopiero książka dla pod roboczym
tytułem „Ostatni dzwonek” stała

się p awdzSwym wyzwaniem dla mojego talentu. Książki tej jak pomniałem, nigdy
nie zdołałem naprać, tamtego
jednak pldnia, przed laty, leżałem na materacu i ze skupieniem badacza śledziłem
chaotyczny przepływ swych myśli.
Myśli te pojawiały się i znikaly, nieuchwytne, abstrakcyjne jak duchy i iak
duchy pozbawione jakiegokolwiek trwałej
substancji. Zapadłszy w stan metamyślenia, rozmyślałem o własnych myślach i
pojąc się błogością twórczych tortur,
śledziłem żalony marsz robaczka wzdłuż krawędzi sufitu. Tylko chwilami,
brutalnie i niespodzianie, z błogości owej
wrywała mnie inna boleśnie konkretna myśl. Była to myśl o tym, co będzie, myśli
futurystyczna, bardziej nawet wizja
niż myśl. Widziałem nagle siebie - siwobrodego olbrzymia pośród rumianych dzieci,
groteskowego mędrca-tułacza,
którego rozum dawno już przestał cokolwiek pojmować, ale którego nie chciała
opuścić pamięć.

- Powiedz mi, Żrebaku, czy wiesz może, co się stało z Zielonym Jabłuszkiem?

.Żrebak odłożył słuchawkę i
wkładał teraz w przedpokoju
buty. . . r.

- O piątej gramy w Globalnej Wiosce, wpiszę cię na listę, bo ostatnio bramkarze
zrobili się podejrzliwi i nie
wpuszczają

^ Usłyszałem jeszcze na żywo Miarowego Szumu Muszelek, toteż z radością
przyjąłem zaproszenie. W

wmdzie Żrebak poprawił poły fraka, ucałował mą dłoń i porwał mnie do tańca.

Winda była duża, wyłożona

dywanikiem i muszę przyznać, że walc wyszedł nam naprawdę wyśmienicie.

23

Pachniała biblioteką, ale Żrebak stwierdził, że nie powinienem jej o tym informować.

-Zapewniam cię, stary, że żadna kobieta nie pragnie pachnieć książkami. Czy słyszałeś kiedyś o perfumach

„Moby Dick”? Albo „Lochy Watykanu”?

Być może Żrebak miał rację, ja jednak, z rozpaczliwym uporem mężczyzn wolnych od grzechu polotu, czułem

wstręt do kwiecistych metafor i rzeczy zwykłem nazywać po imieniu.

Wołga Nix pachniała biblioteką.

Stała sama w kolorowym tłumie, nijaka i blada, zagubiona w orgii nawoływań i cmoknięć, i jedynie włosy -

bujne, spadające na kark pukle - chroniły ją nieco przed ową dożywotnią

nicością, na którą mężczyźni bezlitośnie

skazują kobiety brzydkie. Nic jednak nie pustoszy męskiej duszy tak, jak związek

z kobietą piękną, i jeśli o mnie

chodzi, byłem śmiertelnie zmęczony rajskimi wrotami piekła. Podeszedłem więc do

Wołgi, wtuliłem głowę w jej włosy i

z perwersyjną rozkoszą zanurzyłem się w zapachu ksiąg i rękopisów.

Ironyczną cechą błędu jest to, że popełniany bywa świadomie i od pierwszej

sekundy wiedziałem, że nigdy nie

będę mógł pokochać Wołgi Nix. Co gorsza, wiedziałem też, że od pierwszej sekundy

Wołga Nix pokochała mnie z

siłą równą mojej niemożności. Być może dlatego właśnie poczułem się

bezgranicznie lekko i niedręczony widmem

przyszłych tortur, odurzony błogim spokojem, odprowadziłem ją po koncercie aż do

łóżka.

Pracowała w muzeum, a duszę miała bardziej nawet prostą, niż początkowo
sądziłem. Urodzona pod
smętnym znakiem Panny, ucieleśniać zdawała się całą nudę wszechświata, a jej
brak inwencji w każdej dziedzinie
stwarzał niepowtarzalne pole dla moich własnych działań. Wypuściłem pąki, zakwi-

24

tłem i wolny od werterowskich cierpień płąsałem po ogrodach miłości z beztróską
przynależną pustym
sercom.

- Urodziłam się po to, by cię kochać - powtarzała, wychylając się z brzucha
zegara.

- A ja urodziłem się po to, by cię dręczyć - żartowałem, zamykając brzydki dziób
kukułki pocałunkiem. I czas
mijał, tak jakby czasu nie było. Nie pisałem wtedy wcale, gdyż potrzeba pisania
ulotniła się wraz z tęsknotami mojej
rozpaczliwie długiej młodości. Nabyłem za to telewizor, dzięki czemu rzadziej
brakowało mi tematów do rozmów z

Wołgą, zapuściłem brodę i wkraczając w nowy etap swojego rozwoju, zatrudniłem
się w małej firmie wyrabiającej
kamienie szlachetne. Owo zajęcie z pogranicza alchemii pochłonięło mnie zresztą
na długie miesiące, a dodać muszę,
że dostępne było ono tylko dla nielicznych. Mówię: było, gdyż firma owa
podzieliła, niestety, los wielu innych małych
firm i zniknęła z powierzchni ziemi, wchłonięta przez cyniczne konsorcja.
Należałem więc do ostatnich wybrańców,
którym dane było obcować z prawdziwą sztuką. Sprawdziwszy za pomocą wahadełka

przynależny mi kolor, pani

Adharma Ratna, złotozębna matrona o błękitnej aurze lunatyków, zalewitowała z radości i nie stawiając zbędnych pytań, niezwłocznie zatrudniła mnie przy produkcji rubinów. Do moich zadań należała zawią preparacja wywaru z alpejskich fiołków, w którym to wywarze, w drugi dzień Pełni każdego miesiąca, zanurzano trzydzieści pięć pelargonii, siedem miedzianych śrubek, jedno-pensówkę, wosk z ucha mędrca, patyczek krwawnika, chińskie pióro typu Hero oraz - gdy ciecz była odpowiednio gęsta -dwie garści miętowych dropsów wraz z miętochłonną szprot-ką. Efekt był rewelacyjny i głową ręczę za to, że po dziś dzień w uszach co najmniej tysiąca kobiet na całym świecie dumnie

25

lśnią rubiny z pracowni Adharmy Ratny, pod warunkiem oczywiście, że się w nich nie kąpią.

Wołga Nix zlekceważyła instrukcję obsługi i zanurzona po szyję w wannie, spazmatycznym płaczem pożegnała pewnej nocy rubinowy naszyjnik, który kiedyś - z braku innych pomysłów na prezent - podarowałem jej na urodziny. Woda zabarwiła się na różowo, a niejasny zapach mięty i szprotek wypełnił łazienkę i pozostał w niej, mimo intensywnego wietrzenia, już na zawsze. Uznałem to za zły omen. Czas Wołgi dobiegał końca i choć zdawałem sobie z tego sprawę, nie bardzo wiedziałem, jak czas ów godnie zakończyć. Wołga Nix, niestety, należała do przykrego typu kobiet, którym nie sposób cokolwiek zarzucić. Proces

pozbywania się takich kobiet, zaprawiony pięknym poczuciem własnej winy, spalić
może najpiękniejsze lata życia, i
pozazdrościć można tylko marynarzom, którzy mają szczęście odpływać z pierwszą
łżą kochanki. Niestety, w
przeciwieństwie do mego ojca, nie byłem marynarzem i widok też kobiecych
paraliżował mą wolę. Nie wiem, czy
Wołga Nix była tego świadoma, wydawała mi się stanowczo zbyt prosta, by władać
wielką sztuką przewrotności. Ale
mogłem się mylić - czary niekochanych odkrywają się przed nami dopiero po
latach, kiedy to ich piekielne działanie,
niczym poniewczasie zrozumiany rebus, układa się w upiorne rozwiązanie. Wtedy
jednak nie wierzyłem jeszcze, że to
prawda. Nie kochałem Wołgi, chciałem być znowu wolny, i to był mój kompas.
Wołga Nix była jedyną kobietą, którą uderzyłem w twarz. Stało się to w drugą
sobotę maja, dwa lata, dwa
miesiące i dwa dni od chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzałem ją na koncercie
grupy Miarowy Szum Muszelek.
Wracaliśmy z kina, gdy zażądała nagle, bym zabrał ją do swego królestwa. Muszę
wyjaśnić, że dotąd
spotykaliśmy się
26
wyłącznie u niej i moje progi przestąpiła raz tylko, ponad rok temu, kiedy to
ostre zapalenie pęcherza na dwa
bolesne tygodnie przykuło mnie do łóżka. Właśnie wtedy, wyjąłowny gorączką i
samotny, poprosiłem niebacznie,
żeby przyszła. I rzeczywiście, po niespełna godzinie zadzwoniła do drzwi.
Obarczona misją, szczęśliwa modliszka, z

pasją konkwistadora wkroczyła w moją intymność i rozsiała po kuchni tonę
owsianych płatków.

- A to dla ciebie - szepnęła i wręczyła mi koronę. - Jesteś
moim królem.

O gustach dyskutować nie zwykłem, znane mi też są piekła bezwzajemnie
kochających. Przyznać jednak
muszę, że choroba moja w rozpaczliwy sposób uskrzydliła jej bladą wyobraźnię i
podziałała jak afrodyzjak. Z
przeżeniem patrzyłem, jak Wołga Nix wskakuje pod kołdrę i lodowatymi stopami
muskąć zaczyna moje łydki.

Doprawdy, krokodyl zdołałby podniecić mnie bardziej i jedynie jej dłoń,
zaciskająca się na mnie niczym dłoń
mierzącej ciśnienie pielęgniarki, sprawiła, że zniknąłem na kilka minut i
odruchowo wykonałem to, czego ode mnie
oczekiwała. W chwilę potem duszę moją zalała fala smutku w kolorze rybich łusek
i zabroniłem jej dalszych
odwiedzin.

Toteż nic dziwnego, że owej soboty co najmniej niechętnie odniosłem się do jej
propozycji.

- Wołgo, moje królestwo pełne jest brudnych skarpetek, w garnkach zaległy się
pająki, w ścianach śpią
duchy przeszłych epok, a pod stołem mieszka galaretowaty robak, którego jedynym
zajęciem jest wstrętne
masturbacja!

Wołga Nix jednak nie ustąpiła, przywołałem zatem taksówkę i pojechaliśmy do mnie.

Nigdy nie pokochałem

jej ciała, jednak wtedy, gdy znowu stanęła pośrodku pokoju, wydała mi się tak

bezwstydnie niepotrzebna i obca, że

nie bacząc na

27

jej spłoszony uśmiech, zasiadłem przed komputerem i po prostu zacząłem pisać.

Nie wiem, co pisałem -

wystukiwałem słowa, którymi pragnąłem się od niej oddzielić. Była żenująca, a i

sam siebie nie oceniałem lepiej. Co

ja, u diabła, robię z tą nieszczęsną istotą, myślałem, a jako że pytanie to

zawierało w sobie równie żenującą

odповідź, uciekałem przed nim, coraz szybciej uderzając w klawisze. Oczom mojej

pamięci ukazały się znowu

wszystkie te kobiety, które kiedyś były w tym domu i których ślady hołubiłem z

godnym fety-szysty zacięciem:

zraniona paznokciem ściana, popiersie kieliszka, biały kwadrat zdartej

fotografii, sprana plamka krwi na prześcieradle.

- Intuicja mi mówi, że jesteśmy dla siebie stworzeni - powiedziała Wołga Nix i

głaszcząc mnie po głowie, z

miną zwycięzcy postawiła na biurku miseczkę płatków owsianych.

Był to moment, który rozgrzesza z popełnienia zbrodni.

Nie pamiętam dokładnie, co powiedziałem. Wiem tylko, że powstałem z krzesła,

spojrzałem głęboko w

płytkie oczy krótkowidza i prawą dłońią wymierzyłem cios kalekiej intuicji.

Wołga Nix wyszła bez słowa, a ja

zrozumiałem nagle smutek Karola Bovary po śmierci Heloizy Dubuc.

Następne tygodnie spędziłem na długich samotnych spacerach ulicami miasta. Było

lato, w moich żyłach

powoli zaczynała pulsować krew. Z przykrością tylko stwierdziłem, że nie

rozumiem treści większości reklam i że

młode dziewczyny w parku potykają się o mnie, tak jak potyka się o prastare
korzenie dębu.

Mimo swej awersji do wszystkiego co tybetańskie, osobliwą sympatią darzyłem
słowo bardo. Słowo bardo

w języku

28

w

Tybetańczyków oznacza stan przejściowy, nieuchwytny obszar pomiędzy brzegami,
który - niczym wyspa na

Niczyjej Ziemi - udziela schronienia istotom skazanym na błądzenie. Jako że
zostawiłem za sobą właśnie dłuższy okres

pobytu w zimnym piekle, z ulgą dołynąłem do wyspy i rozpałem ognisko. Na
wskroś przemarznięty, nie czułem

jednak ani

ciepła, ani zimna. «

Nie czekałem też chwilowo na nic, a i na mnie, mniemam, nikt nie czekał. Kroki
na schodach niezmiennie

urywały się piętro niżej, telefon milczał, a pustą ciszę mej pocztowej skrzynki
zakłócał jedynie bełkot reklam i skowyt

rachunków. Reklamy przekładałem do skrzynki sąsiada, a rachunki zgniatałem w
kulki i w chwilach przyptywu energii

celowałem nimi z balkonu w przechodniów. Chwile te zdarzały się jednak rzadko,
zwłaszcza że „Życie w niebycie”,

urocze ezoteryczne pisemko poświęcone kwestii odżywiania się powietrzem,
przestało przychodzić z błahaego

powodu mej niewypłacalności. Przystałem więc czytać cokolwiek, a długie jak eony

godziny ciągnąć się zdawały w
nieskończoność. Wsłuchany w kapanie wody dochodzące z kuchni oraz w burczenie we
własnym brzuchu, dnie i
noce spędzałem na smętnej kontemplacji swego losu, i zdumiony tego losu
postępującą bladością, stopniowo
pogrążałem się w nieistnieniu.

Z nieistnienia tego wyrwał mnie pewnego wieczora powiew wiatru. Był to wiatr
straszny, wiatr, który
pajęczyny wy-wiewa z zamczysk, smokom gasi w brzuchach owce, a na szyjach poetów
zaciska śmiertelne pętle
szalików. Niezwłocznie zapaliłem kadzidło, drzwi zamknąłem na łańcuch i
zagłuszając niepokój, włączyłem telewizor
oraz radio. Niestety, miast ustąpić, niepokój mój wzmagał się coraz bardziej. Na
palcach podkradłem się więc do
okna i huknąwszy bojowo, kopnąłem

29

wybrzuszoną firankę. Ale i to nie pomogło. Tknięty nagłym przecuciem wybiegłem
w końcu na balkon i
zamarłem ze zgrozy - środkiem pustej ulicy spacerował monstrualnych rozmiarów
tapir. Nim zdążyłem wrzasnąć, w
pokoju zadzwonił telefon.

- Witam, jak zdrówko? - Głos w słuchawce brzmiał serdecznie i miękko. - Mam
nadzieję, że nie oderwałem
pana od posiłku...

Drżenie kolan sprawiło, że przysiadłem na rogu łóżka.

- Pan przeprosi w moim imieniu małżonkę, ale nie chciałem czekać do jutra. Otóż,
proszę sobie wyobrazić,

udało się! Ostupiały, przyłożyłem słuchawkę do drugiego ucha.

- Chwileczkę, to nieporozumienie...

-Ależ nie, proszę mi wierzyć! - zapewnił głos. - Sam uczestniczyłem w naradzie,

a list wysłano dziś rano, czyli

najpóźniej jutro w południe będziecie państwo mieć oficjalną zgodę na piśmie.

Przetarłem czoło.

- Przepraszam, ale najwyraźniej wykręcił pan zły numer -wyjaśniłem, siląc się na

spokój. - Też jestem w tej

chwili roztargniony, życzę dobrej nocy...

- Ja też życzę państwu dobrej nocy. - Głos roześmiał się nienaturalnie. - Coś

czuję, że świętowaliśmy... A

może mógłbym porozmawiać z małżonką?

Zamierzałem właśnie zakończyć bezsensowną rozmowę, kiedy w kuchni rozległ się

odgłos spadającego

garnka i w tej samej niemal chwili słuchawkę wyrwała mi z ręki zdyszana kobieta.

- Tak, tak, dziękuję, naprawdę dziękuję. Och, jak zwykle... przepraszam... on ma

specyficzne poczucie

humoru... Oczywiście, stawimy się jutro po południu... Tak, to naprawdę cud...

30

Dobranoc... Do jutra... tak... tak... mężczyźni, rozumiem...

Dziękuję za telefon.

Oniemiały patrzyłem, jak kobieta odkłada słuchawkę, obrzuca mnie nienawistnym

spojrzeniem i wybiega z

pokoju.

- Idiota!

Śnię, po prostu śnię, pomyślałem i chwiejnym krokiem ruszyłem w stronę kuchni.

Pochylona kobiefa drżącą

dłonią zbierała z podłogi buraki, a nozdrza moje podrażnił bezlitosny zapach majeranku.

- Koniec, tym razem to już koniec! Pakuj się i zjeżdżaj do swoich aniołów, ja nie zamierzam dłużej się w to bawić...

Oniemiały patrzyłem, jak kobieta odkręca wodę i odgarnąwszy z twarzy włosy, z pasją szoruje buraki. Była drobną blondynką o ciekawej, lecz przedwcześnie zniszczonej twarzy, a jej pozornie niedbały ubiór zdecydowanie świadczył o wyrafinowanym smaku.

- No co się gapisz? Powiedziałam, koniec!

Zamknąłem oczy i wstrzymawszy na chwilę oddech, rozpaczliwie przywoływałem w pamięci całą swą wiedzę na temat świadomego śnienia. Ale, niestety, wiedza ta była równie szczątkowa, jak i cała reszta mej duchowej edukacji, otworzyłem więc oczy i widząc, że sen trwa nadal, z całej siły uszczypnąłem się w ramię i wrzasnąłem z bólu.

- Nie rób z siebie pajaca. - Kobieta wrzuciła buraki do garnka, dłonie wytarła w spodnie i przeszła do pokoju. - Nie zamierzam co rano wysłuchiwać bajek - powiedziała, zapalając papierosa. - Siedem lat wystarczyło, żebyś nauczyła się wszystkiego na pamięć. Znowu poznałeś anioła, tak czy nie? Oczywiście, tym razem to jest prawdziwy anioł, bo przedtem się jednak myliłeś, tak czy nie? Ach, no i co teraz? Z jednej strony my, z drugiej anioł, dramat upiornego wyboru, tak czy

nie? Jakie to bolesne, ach, znowu pęka ci serce, bo za jednym zamachem znowu
ranisz trzy wspaniałe osoby.

I co gorsza, zupełnie nie wiesz, co dalej, tak czy nie?

Kobieta wybuchnęła spazmatycznym śmiechem. Miała gęste włosy i smukłe palce i w
półmroku pokoju

wyglądała o wiele ładniej niż w kuchni. Nie, to nie mógł być sen. Usiadłem na

krzesło po drugiej stronie stołu,

założyłem nogę na nogę i odzyskując powoli spokój, szukałem właściwych słów.

- Słuchaj, nie pojmuję, o co tu chodzi, ale spróbujmy wszystko krok po kroku

wyjaśnić - zaproponowałem. -

Zacznijmy może od tego, w jaki sposób znalazłaś się w moim mieszkaniu...

Sądząc po reakcji, nie było to najwłaściwsze zagajenie rozmowy. Kobieta

poderwała się z krzesła, wybiegła

do przedpokoju i pośmiawszy ze złości, ryknęła:

- Zjeżdża], ale to już!

Nie miałem doświadczenia w prowadzeniu domowych wojen, a wszelki krzyk sprawiał,

że przed oczyma

tańczyć mi zaczynały kręgi oszalałych galaktyk.

- Zgoda - zawołałem pospiesznie. - Zgoda, nic z tego nie rozumiem, ale załóżmy,

że masz rację! Załóżmy, że

naprawdę zwariowałem i że nic nie pamiętam. Nie wiem, co tu robię, nie wiem

nawet, kim jestem...

Przystanęła w progu i przeszła mnie smutkiem beznadziejnej miłości. Był to

smutek cierpliwy i mądry,

smutek, który spływa z kącików oczu i znika w uśmiechu, bowiem kochający bez

nadziei każde chamstwo

wytłumaczyć umięją na sto osiem magicznych sposobów.

- Ja naprawdę nic nie rozumiem - powtórzyłem i widząc, że przez twarzy kobiety przemknął cień uśmiechu, czym prędzej wykonałem króliczka.

32

- W porządku, rób co chcesz - westchnęła zrezygnowana. - Baw się formą i treścią, badaj sobie granice rzeczywistości i wyżywaj się w happeningach. Ale nie pozwolę, żebyś mieszał w to Finimondo. Finimondo ma cztery lata i nie potrzebuje pisarza, ale ojca!

Zamarłem.

- Finimondo? Jakie, na miłość boską, finimondo? - zawołałem, a słowa moje, rąbnąwszy w sufit, rozbiły się na miliard świetlistych fonemów i opadły na mnie w postaci olśnienia. -Finimondo...

- szepnąłem i porażony światłem prawdy, przemówiłem nagle językami obcymi: -Merde, shit, scheisse! Chcesz powiedzieć, że ty i ja mamy dziecko?

Finimondo? To syn czy córka? Do diabła, co tu jest grane i kto wymyślił takie imię?

Kobieta spojrzała na mnie z politowaniem.

- Tego imienia nikt nie wymyślił, ono zaistniało wraz z początkiem świata. Ja je po prostu wybrałam -

oznajmiła spokojnie. - A wybrałam je, zanim ty zdążyłeś nazwać naszą córkę

Samuelem Beckettem, Krishnamurtim

lub Mishimą. To moje dziecko, pozwól jednak, że ci przypomnę, że kredyt postanowiliśmy wziąć wspólnie...

W moim wzroku pojawić się musiała rozpacz stojącego przed malowanymi wrotami

cielęcia, i kobieta, z

trudem kryjąc rozbawienie, podeszła do biurka.

- Jeśli umiesz pisać, to umiesz zapewne też czytać - wyde-dukowała odważnie i

wręczyła mi kopertę w

kształcie wyroku śmierci. Była to, jak się przekonałem, podpisana moim

nazwiskiem prośba o przyznanie kredytu na

mieszkanie, suma taka a taka, procent taki a taki, okres spłacania lat

czterdzieści

i cztery.

Krew w mych żyłach przestała krążyć, oddech zamarł, a czas, którego i tak nie

było, zatrzymał się na kilka

upiornie

33

niepojętych wieczności. A może to wcale nie sen, pomyślałem, może snem jest

właśnie to, co dotąd uważałem

za jawę? Znaczy, śniło mi się tylko, że szukam i błędzę, i że jestem samotny i

wolny? Może w rzeczywistości

znalazłem, zanim zacząłem szukać, i wszystko już jest ustalone? Jestem mężem

doskonale obcej mi kobiety, jestem

ojcem córki o niewybaczalnym imieniu, utraciłem z tego wszystkiego pamięć i

jedynym celem mego życia stało się

dozgonne spłacanie kredytu...

Zebrało mi się na płacz, jednak skłębione w mym sercu czarne chmury rozstąpiły

się nagle, gdyż

przypomniałem sobie, że nie wszystko przecież zapomniałem.

- WIERNOŚĆ PIĘKNU, KTÓREMU ZDARZYŁO SIĘ NIE ZDARZYĆ! - wrzasnąłem z potęgą

ostatecznej rozpacz, a stojąca przede mną kobieta po raz pierwszy spojrzała na

mnie bez pogardy.

- ładne zdanie - przyznała z uznaniem i zamyśliwszy się z lekka, dodała: - Gdyby

światy tworzone z

niedokonań, byłbyś niezłym bogiem.

Jej oczy zajaśniały wolną od oczekiwań mądrością, a pierwotna obcość nie wiadomo

kiedy ustąpiła miejsca

rozkosznej swojskości.

- Skoczę po piwo - powiedziała, nawijając na palec kosmyk. - Potem nastawimy

sobie Throbbing Gristle i do

rana będziemy tańczyć, a jak tylko zapragniesz być sam, bezszelestnie wysunę się

z łóżka i zniknę...

Krew odpłynęła mi z głowy, górna warga pokryła się szronem i skamieniałem, tak

jak kamienieje się w

obliczu kobry. Bezgłośnie zafalowała firanka. Przez uchylone okno wpłynęła do

pokoju cisza nocy, woda w kuchni

przestała kapać, a stojąca przy łóżku świeca tylko dlatego nie zgasła, że jej

nie zapaliłem. Pod nieszczęsną mą czaszką

z hukiem przetoczyła się la-

34

wina przerażonych swą własną śmiałością przypuszczeń. Tylko spokojnie, tylko

spokojnie, pomyślałem, jeśli

tak właśnie przejawia się obłąd, z godnością stawimy mu czoło... Ale może to

wcale nie obłąd, lecz hipnotyczny sen?

Może ktoś steruje mym umysłem? Mogłem też oczywiście paść ofiarą złośliwych

informatyków, którzy włamali się do

bazy danych moich najskrytszych lęków i stworzyli dla mnie wirtualne piekło..

Wyjaśnialoby to przynajmniej

makabryczny wątek kredytu i córki, ale skoro tak, to skąd, do diabła, ów nagły zwrot w scenariuszu?

- Ha, a więc wiesz nawet, że w młodości słuchałem Throbbing Gristle! - zawołałem przesadnie głośno i

przemierzać zacząłem pokój dziarskim krokiem człowieka gotowego na wszystko. -

Skoro jednak znasz mnie tak

dobrze, to powinnaś też chyba wiedzieć, że nie cierpię buraczków i dzieci, że

widmo małżeństwa przeraża mnie

bardziej niż klucie w pęcherzu i że nikt, raz tylko spojrzawszy mi w oczy, nie

pożyczyłby mi nigdy, hehe, z

przeproszeniem, pieniędzy!

Głos mój skrzypiał jak stare wrota, jednak w miarę mówienia wyraźnie wstępowały

we mnie nowe siły.

Wsparta o framugę kobieta przyglądała mi się bez słowa. Jej twarz pozbawiona

była jakiegokolwiek wyrazu i jedynie

ręce nazbyt sztywno skrzyżowane na piersiach świadczyły o wewnętrznym

napięciu.

- Może herbatki? - zagadnąłem pojednawczo. - Służę rumiankiem i szafwią.

Przez twarz kobiety przemknął grymas obrzydzenia.

- Hm, nie to nie, nie zmuszam. Nie sądzisz jednak, że winna jesteś mi kilka

wyjaśnień? Przyznaję, całkiem

nieźle wszystko odegrałaś, choć szczerze mówiąc, wolałem cię w roli gejszy niż

żony... Ale co, do diabła, ma znaczyć

ten cały teatr? Może zdradzisz wreszcie, kim jesteś i jakim cudem znalazłaś się

35

w mojej kuchni? Od lat się param parapsychologią, ale na zjawisko typu duch mi

jakoś nie wyglądasz -

zapewniłem i szykując się na dłuższą opowieść, pomknąłem wypróżnić pęcherz.

Zza ściany dobiegł mnie trzask łamanej zapałki i osobliwy szum.

- Na Boga, chyba nie podpalasz mi łóżka? - zawołałem półzartem i na dobre

zaniepokojony brakiem

odpowiedzi, czym prędzej wróciłem do pokoju.

Ku mojemu zdumieniu, zastałem ją dokładnie w tym samym miejscu i w tej samej pozycji, co uprzednio.

Przeszywając mnie pustym wzrokiem, stała bez ruchu ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, ale choć na pozór nic

się w niej nie zmieniło, wyglądała teraz zupełnie inaczej niż przed chwilą.

Uśmiechnąłem się głupkowato, przestąpiłem

z nogi na nogę i cała moja z takim trudem odzyskana równowaga ducha w mgnieniu oka runęła w przepaść zwątpień.

Chciałem wrzasnąć, jednak z gardła mego dobył się nie tyle głos, co tak dobrze mi znany neurotyczny szept:

- Kim jesteś?

Opadłem na łóżko, twarz skryłem w dłoniach i niezdolny nawet do płaczu, smętnie kontemplowałem mroki

karmicz-nych wyroków. Oto ja - nieustraszony tułacz po meandrach ducha, adept ezoterycznych ścieżek, koneser tai

chi i feng shui, natchniony znawca szlachetnych kamieni i samotny mistrz

celibatu -ja, mówiąc krótko, człowiek

ponadprzecięt-nie wysublimowany, znalazłem się oto w szponach złośliwego demona,

który przybrawszy żeńską

postać, dręczy mnie piekielnymi wizjami rodzinnego życia...

- Ach! - zawołałem, a w eksklamacji owej zawarł się cały dramat mych

skomplikowanych związków z

doczesnością.

- Ach... - odpowiedziało mi echo.

36

Niepewnie uniosłem głowę i rozejrzałem się po pokoju. Nad doniczką unosił się kadzidlany obłok, a stojąca w progu kobieta o ustach w kolorze konfitury z wiśni jak gdyby nigdy nic bawiła się swym niespotykanej długości warkoczem. Zdolność kobiet do transformacji na zawsze chyba pozostanie dla mnie tajemnicą. Przetarłem oczy, zamrugałem i przetarłem je ponownie, kobieta jednak nie zniknęła. Nie zaCisnęła też nagle pięści i nie przemieniła się w łysą wiedźmę, za to przygryzła lekko wiśniowe usta i:

- Ach - westchnęła - jakie znowu demony? I po chwili, cicho, melodyjnie:

- Ja tylko spletałam włosy, rozpletałam i ponownie je spletałam: siedem tłustych, siedem chudych i siedem zapasowych warkoczy, które artystom zwiastują dzieło, a niekochanym piekło. Głos jej, niczym strumyk dymu znad papierosa, tańczył w powietrzu i zaklinał mnie swą magiczną melodią, której sensu nie mogłem wszak dosłyszeć. Węże bowiem wsłuchane są nie w głos piszczałki, lecz we własne głosy. A więc koniec, pomyślałem, a więc tym razem się stało: przekroczyłem subtelną granicę rozumu, odleciałem na amen i resztę życia spędzę wśród retorycznych pytań, majaków i skrzypów, widłaków i zwidów, piszczących w piszczałkach duchów, bestii wcielonych w kobiety, ust w kolorze konfitur z wiśni i wszystkich temu podobnych skojarzeń, które sankcjonując obłęd, wnoszą rozpacz artysty na wyżyny geniuszu. A więc:

- Ich liebe dich! - zawołałem w języku, który brzmiał w moich uszach bodaj najrozpaczliwiej. - Ich liebe dich
- powtórzyłem bezkarnie, gdyż wyznania miłości w obcych nam językach brzmią jedynie jak cytaty z cudzych wierszy.

Kobieta zdawała się zupełnie nie przejmować moimi słowami. Rozplatała teraz warkocz i nie patrząc na mnie,
bezgló-

37

śnie poruszała wiśniowymi ustami. Coraz bardziej zaniepokojony jej nieobecnością, poczułem w sercu niebezpieczne ukłucie. Mój Boże, tylko nie to, pomyślałem, niech oszaleję, niech zniknę z powierzchni ziemi, byle tylko nie stało się to znowu za sprawą miłości!

- Słuchaj, splataj i rozplataj sobie, co tylko zapragniesz, ale uprzedzam, nie spodziewaj się, że kiedykolwiek będę jak krab pełzał po oceanie twej egzystencji! Co to, to nie, tę fazę mam już za sobą! - powiedziałem głosem, który zabrzmiał jak pękająca kora. Kobieta jednak nie obdarzyła mnie ironicznym spojrzeniem, w ogóle niczym mnie nie obdarzyła, i jedynie jej zanurzone we włosach palce przyspieszyły swój zwinny taniec, zdradzając zniecierpliwienie. Poczułem się śmiertelnie zmęczony.

- Piekło, powiadasz, twoje włosy zwiastują mi piekło? Bardzo możliwe, że zwiastują, ba, może nawet już mnie do tego piekła wpędziły! Tylko dlaczego, na miłość boską, akurat warkocze? I dlaczego siedem? - zawołałem zaczeplnie i czując, że nie mam już nic do stracenia, z potęgą schodzącego

łabędzia zrzucić jątem z serca kolejne

kamienie: - Po pierwsze, nie czuję się kochany, lub, mówiąc ściślej, może i

bywam czasami kochany, ale zawsze przez

niewłaściwe kobiety, co wychodzi na jedno i sprawia, że brak mi w życiu nie

tylko miłości, ale przede wszystkim

radości. Po drugie, które wynika z pierwszego, brak w moim życiu sensu, a próbki

literackie mojej heroicznej

młodości brak owego sensu potwierdziły i przypieczętowały na amen. Po trzecie,

które wynika z drugiego, lękam się

doczesności i, jak zapewne wiesz, mimo iż nie jestem Wodnikiem, siłą rzeczy

sensu szukam w bezkresnych

przestrzeniach Nowej Ery. Ale spokojnie! Skoro znasz mnie tak dobrze, że wiesz

nawet, że w młodości słuchałem

Throbbing Gristle, to

38

powinnaś chyba też wiedzieć, że moja skłonność do egzegezy jest niestety

odwrotnie proporcjonalna do mej

wiedzy... a więc, po czwarte, czy nie możesz mi po ludzku powiedzieć, dlaczego

właśnie mnie przyszłaś dręczyć i co

tak naprawdę mają do rzeczy te pieprzone siedem warkoczy?

Pozbywszy się z serca kamieni, opadłem na łóżko i zamilkłem, ale bynajmniej nie

poczułem się lżej. Ciężyły mi

bowiem nie kamienie, ale samo serce, które nadaremnie próbowało wypełnić swą

pustkę pytaniami bez odpowiedzi.

Na odpowiedzi bowiem przestałem czekać i może właśnie dlatego odpowiedź nagle

się pojawiła.

- To proste - wzruszyła ramionami kobieta i spojrzała na mnie z uśmiechem

wróżącym najniższy przedsiónek

piekła, czyli niebo. - Od magicznej liczby sto osiem odejmij sto jeden. Wynik

ten sam w sobie niczego nie stanowi,

jeśli jednak pomnożysz go przez siedem i od ilorazu odejmiesz czterdzieści

dziewięć, dowiesz się, jak mam naprawdę

na imię...

W numerologii nie byłem nigdy mocny, toteż uśmiechnąwszy się z wymuszoną

wdzięcznością, zamarzyłem

tylko, by kobieta na imię miała Róża, przykryłem nerki kocem i zasnąłem.

Ocknąłem się w łóżku, które pachniało potem. Nie wiem, która była godzina, z

kranu w kuchennym zlewie

miarowo kapłała woda, a na wybrzuszonyj firance falował placek księżycy. Za

ścianą rozległ się płacz dziecka.

- Finimondo? - zawołałem nieprzytomnie i poderwawszy się z łóżka, wybiegłem do przedpokoju.

Płacz dziecka za ścianą ucichł. Na klatce schodowej usłyszałem kroki, które,

ominąwszy moje mieszkanie,

zatrzymały się piętro wyżej. U sufitu zaskrzypiała podłoga. Zataczając

39

się, podszedłem do okna - środkiem pustej ulicy spacerował pokaźnych rozmiarów

tapir.

- Siedemset siedemdziesiąt siedem, formacja postsatani-styczna - powiedział i

wydymając wiśniowy ryjek,

parsknął: -Trzy siódemki niemożności zwiastujące koniec złudzeń.

Nim zdążyłem wrzasnąć, w pokoju zadzwonił telefon, którego tym razem wolałem

jednak nie odbierać.

Imperatyw nieustannego rozwoju na równi dręczył mnie i fascynował. Wyjaśnić tu

muszę, że słowo „rozwój”

rozumiałem w sposób głęboki i jako człowiek obdarzony pewną po-nadnaturalną siłą

nie traciłem czasu na jałowe

zaliczanie fakultetów. Po pierwsze, nie cierpiałem świeckich autorytetów i

katedr, a po drugie, gdybym się nawet

przełamał, było już na to zdecydowanie za późno.

Upływ czasu dotarł do mej świadomości nagle, pewnego popołudnia w parku. Do

obiadu u matki zostały mi

jeszcze ponad dwie godziny, siedziałem więc na ławeczce i tradycyjnie celebrując

sączenie piwa z puszki, w zadumie

obserwowałem całującą się nieopodal parę. Dziewczyna nawet mi się podobała, była

szczupła, miała małe, lecz

uroczo zadziorne piersi, w oczach jej czaił się smutek bezmyślnie mijającej

urody i w abstrakcyjny sposób wydała mi

się znajoma. Stojący obok niej chłopak zupełnie za to nie przypadł mi do gustu i

rozmyślałem właśnie nad straszną

dolą ślepych uczuć, kiedy to z myśli moich wyrwał mnie nagle gołąb. Lub, mówiąc

ściślej, gołębie gównno, które z

leciutkim świstem przecięło powietrze lipca i rozlało się białą plamą na puszcze

mojego piwa. Poderwałem się z ławki,

przesłałem gołębiowi serię serdecznych przekleństw i zrozpaczony, gdyż na nowe

piwo nie miałem pienię-

40

d/y, cisnąłem w krzaki osraną puszkę i pospiesznie ruszyłem \v kierunku wyjścia

z parku. I właśnie wtedy

stała się rzecz, której nie śmiałem przewidzieć w swych najśmielszych snach.

- Niech pan zaczeka - zawołała dziewczyna. - Tak mi przykro, niech pan zaczeka!

Nie dowierając własnym uszom, przystanąłem i obróciłem głowę. Przede mną stała
Ona - cofnięta w czasie,
równie zadyszana jak wtedy, gdy spóźniona stawiała w progu mojego mieszkania.
Włosy miała rozwiane, ścisnęła w
dłoni książkę H. Murakamiego, a na ramieniu jej siedział gołąb. Przetarłem oczy,
gdyż w takich sytuacjach nie sposób
zrobić cokolwiek innego, a dziewczyna, odsapnąwszy, starła z czoła kropelkę potu
i powtórzyła: - Tak mi przykro.
- On jest tresowany - powiedziała, wskazując gołębia. -Gra na skrzypcach i umie
tańczyć tango, nie chrapie,
podaje do łóżka kawę, zna się na komputerach i bezbłędnie odróżnia niebieski od
zielonego. Jest najprawdziwszym
dżentelmenem i ja zupełnie nie wiem, jak mógł nastać panu do piwa.
Dziewczyna podrapała się w głowę, a ja, zachwycony złotym darem jej wymowy,
przypomniałem sobie nagle
przypowieść o księciu i jego losie zaklętym w nieznaną litości koło.
Przypowieść tę opowiedział mi Mister Lee, a
osobliwy jej koniec na zawsze już pogrążył mnie wieku przed wszelkim początkiem.
Jest to bowiem bezlitośnie mądra
przypowieść. Pewnego poranka młody książę, znudzony monotonią nauk o naturze
umysłu, zostawił na brzegu rzeki
mistrza wraz z czarką świeżo zaparzonej herbaty i na ośle pognął przez życie na
swym nowym, białym koniku, Gnał i
gnał, przemierzając złudzenia i czasy, i po długich miesiącach szalonego gnania
dotarł wreszcie do lasu, w którym stała
chatka. W chatce tej mieszkała kobieta. Była to kobieta nie tyle piękna, co
rezo-

lutna, i księżę, zmęczony jałowością swego księżęcego gnania, zatrzymał konika i
ciekaw dalszego ciągu
poślubił rezolutną kobietę. Ciąg dalszy okazał się brutalny jak klasyczna bajka.
Wybiwszy mu z głowy konie, kobieta
urodziła mu synów, chatka zamieniła się w kurnik, a księżę, dla świętego spokoju
polując z procy na papugi, żywił
rodzinę ich niebieskim mięsem i stopniowo popadał w stan błogiej inercji.
Pewnego ranka jednak stała się rzecz tak
prosta, że niewiarygodna: kąpiące się w rzece dzieci po kolei zaczęły tonąć.
Tonęły bezlitośnie, a księżę, słusznie
skądinąd nie dowierzając swemu zmysłowi wzroku, stał oniemiały i z otwartą gębą
patrzył na własną tragedię tak, jak
patrzy się na tragedie cudze. Gdy w końcu woda pochłonęła także jego żonę,
osłupiały usiadł na brzegu fatalnej rzeki i
nie wiedząc, co począć, zaniósł się płaczem skrzywdzonego dziecka. Był to płacz
tak żałosny, że lasy przestały
szumieć, mięso papug zżółkło, a przerażone słońce potknęło się o nitkę horyzontu
i runęło w przepaść. I właśnie
wtedy, gdy czas skończył zataczać swe koło, księżę poczuł na ramieniu owo
delikatne muśnięcie prawdy, które ze snu
wrywa najbardziej odpornych na nauki uczniów. Obrócił głowę - za jego plecami
stał mistrz, w ręku trzymał czarkę
herbaty, a herbata była wciąż ciepła.
- Dostałam go od mamy w dniu szesnastych urodzin - powiedziała dziewczyna, a ja,
świadom błędu, który
tym razem popełniałem z niewybaczalną rozkoszą, zabrałem ją w krainę

samobójczych powtórzeń.

Na szczęście chłopak nie był, jak zapewniła ze śmiechem, jej mężem i
przekonawszy się o tym, rzuciłem z
serca najcięższy z kamieni. Inne kamienie wszak pozostały, więc choć Maja, bo
tak złudne nosiła imię, stała się
wkrótce panią mojego królestwa, wolałem nie nazywać jej królową. Nie, co to, to
nie,

42

pokochałem ją ostrożną miłością zabliznionej rany i w pełni kontrolowałem swe
serce; tak przynajmniej
sądziłem. To ja bowiem wytyczałem ścieżki naszego błędzenia, a ona przemierzała
pokój, odliczając minuty, gdy zbyt
długo nie wracałem z wywiadówki. Uczyła się zresztą bardzo dobrze i chciała
studiować filologię romańską, co
bardzo mnie ucieszyło, gdyż Francję od wieków darzyłem nieodwzajemnioną miłością
Słowian. Znajomi Mai - rośla
młodzież o poglądach równie zdrowych jak zęby - zawstydzali mnie swą bystrością
i rozsądnym, whartonowskim
podejściem do życia.

- Umowa kształtuje dzieło, w przeciwnym razie skończysz jak Lautreamont -
puczali, a ja, wspominając
piekło mitrę-żonych nad kartką nocy, uroczyście nazwałem się głupcem, który
dziesiątki słonecznych wiosen
zmarnotrawił w piwnicy.

Mówiąc krótko, życie moje wypełniło się nową jakością, a radosna wiara w
nieśmiertelność motyli uskrzydliła
mnie do działania. Zmieniłem sny i dietę, nozdrza uświetniłem dzwoneczkiem, w

klapę marynarki wpiąłem

chorągiewkę zwycięzców i zniecierpliwiony homeopatycznym działaniem ćwiczeń tai
cni, zapisałem się na siłownię.

Metamorfoza była tak ewidentna, że matka na mój widok wykonała znak krzyża, a
spotkany przypadkiem Żrebak z

trudem rozpoznał mnie na ulicy. Ja zresztą też w pierwszej chwili wziąłem go za
kogoś innego - głowę spowitą miał w

turban, w ręce trzymał kadzidło i pachniał paczulą. Był to, jak wyjaśnił
spokojnie, zbawienny wpływ prawdziwej

miłości, która objawiwszy się w postaci sześćdzie-sięciodwuletniej wdowy,
wybawiła go ze szponów pedofilii, i oboje

wybierali się właśnie na pielgrzymkę do Amritsaru.

- A ty jak, bracie, przekroczyłeś już rzekę? - spytał. Sens pytania pojąłem

dopiero po chwili, Wołgę Nix bo-

wiem wymazałem z pamięci, tak jak wymazuje się wyrzut su-

43

mienia. Owszem, od dnia, w którym wyszła bez słowa, spotka-łem ją trzy razy i
próbowałem coś wyjaśniać,

ona jednak, po-] grążona w złowróbnym milczeniu, zgniatała w palcach ser- i
wetki i czyniła karkołomne doprawdy

wysiłki, by uniknąć mojego wzroku. Jej zaciśnięte usta napawać zaczynały mnie
dziwnym lękiem, toteż z ulgą

otworzyłem pewnego dnia list, w którym Wołga Nix zaanonsowała swe wieczne
zniknięcie. Do listu dołączone było

zdjęcie, przedstawiające dziewiątkę -ostatnią cyfrę z szeregu, hebrajskie amen.

Spaliłem zdjęcie wraz z listem i z

lekkością starca, któremu zwrócono młodość, pozwoliłem porwać się wiośnie.

- Z rzeki wyłowił mnie, a następnie wskrzesił, niezastąpiony pan Dupin -

zażartowałem w stylu E. A. Poe,

obaj wybuch-nęliśmy śmiechem i życząc sobie szczęścia, rozeszliśmy się w przeciwnych kierunkach.

Wspomnienie Wołgi jednak natchnęło mnie niepokojem tak wielkim, że, pamiętam, biegiem niemal

zawróciłem do domu, pogłaskałem zdumioną Maję i schroniwszy się w toalecie, długo i bezmyślnie myłem zęby.

Maja była kobietą niezwykłą, a upewniałem się o tym każdego dnia naszej słodkiej przyjaźni. Nieskażona

grzechem zazdrości, nigdy nie stawiała zbędnych pytań i zdawała się nie tyle może mi ufać, ile bezbłędnie rozumieć

moje łgarstwa. Wychodzić mogłem i wracać o dowolnej porze, listów nie nosiłem w plecaku, a zaprzeszłe imiona,

które wypełzały nieraz we śnie na me usta, rozplywały się w ciszy jej spokojnego oddechu. Bez szlochów, bez

pretensji... Tak, Maja była kobietą, o jakiej śnią miliony uwikłanych w swą przeszłość mężczyzn. Raz tylko,

kierowana sobie tylko wiadomym przeczuciem, otworzyła kuchenną szafkę i wpatrzona w paczkę zakurzonych

płatków owsianych, zaniosiła się przeraźliwym płaczem.

44

Najbardziej boję się myszy - wyszeptła potem, gdy gła-kałem ją już na kanapie, i śmialiśmy się jeszcze

długo, choć liedziałem, że nie powiedziała mi całej prawdy.

Jedynym, co mnie naprawdę niepokoiło, był brak pieniędzy Nie licząc bowiem dorywczej pracy przy

szlifowaniu muszelek nie pracowałem nigdzie, a grosze dorabiane przez Maje w sklepie z zabawkami ledwie starczały nam na kino. Sytuacja na dobre zaczęła krępować mnie zimą, kiedy to, zadłużeni po uszy u kogo się dało, unikać zaczęliśmy znajomych i z rosnącym lękiem odbieraliśmy telefony. Rozważałem w tym czasie wszelakie możliwości zarobku, od różdżkarstwa po handel filtrami do wody, ale niestety, wszystkie poszukiwania spełzały na niczym z powodu mojego wieku. Okazało się bowiem, że różdżkarz, choćby nie wiem jakie miał właściwości nie może przekroczyć trzydziestki, a filtrami do wody najlepiej handlują chłopcy przechodzący mutację. Zrozpaczony i za stary na cokolwiek, w tajemnicy przed samym sobą udałem się do Samopomocy Seniorów, tam jednak okazałem się główniarzem tak bezwstydnym, że prezes Samopomocy, dwu-stuletni starzec z dorobkiem kilku powstań i wojen, podkręcił białego wąsa, wyjął z nogawki protezę i okładając mnie zabytkową nogą, odesłał do stu diabłów mego pokolenia.

Sytuacja stawała się dramatyczna, a wiszące nad nami chmury opadały z każdym dniem roku coraz niżej. W wigilię owego piątku, który widać musiał nastąpić, zdjęcie Mai odkle-iło się nagle od kuchennej szafki i wpadło do garnka z zupą, radio zgasło w połowie nadawanej melodii, a wiatr od morza wypełnił pokój smętnym smrodem mięty i szprotek. Przyznaję, poczułem w sercu ukłucie nieuchwytnego lęku, trwało to jednak krócej niż ukłucie komara i po

chwili o tym zapomniałem. Wysuszyłem zdjęcie suszarką, zapaliłem kadzidło i bło-

45

gosławiąc zepsute radio, po raz pierwszy od bardzo dawna nastawiłem płytę Yo-Yo

My grającego Brahmsa.

13 grudnia Maja jak zwykle poszła do szkoły, a ja, tradycyjnie, wykonałem sto

osiem pompek, truchtem

okrążyłem łąkę i za ostatnie pieniądze kupiłem cztery bułki, mleko i kawałek

sera, spleśniałego odwrotnie do ceny.

Dzień był słoneczny i ciepły, śniegi poszły w niepamięć wraz z demonami

przeszłych zim i nic nie zwiastowało

nieszczęścia, które wszak od chwili poczęcia zapisane było w liniach naszych

dłoni.

Zaczęło się wszystko, jak sądzę, od książki, którą przypadkowo znalazłem między

majtkami Mai, i która

zaintrygowała mnie nie tyle brakiem tytułowej strony, ile bladą, nieczytelną

niemal czcionką i aż nadto wyraźnymi

rysunkami na marginesach. Rysunki te z całą pewnością nie były dziełem mojej

przyjaciółki. Znałem jej rękę, pewną

kreską rysowała gdzie popadnie przezabawne figurki z okrągłymi oczami zdumienia,

które rozpoznałbym nawet po

ciemku, gdyż promieniowały ciepłem. Rysunki w książce mroziły swą odmiennością.

Kreślone ponurą dłonią

neurotyka, pełne były bezładnych linii, niedomówień, kątów ostrych i przykrych

przerysowań, tak typowych dla osób

o pękniętych sercach i zimnych jak lód stopach. Przeczynałem, że autorem

rysunków jest właściciel książki, toteż nie

oczekując wiele, pobieżnie przerzuciłem trzydzieści pierwszych stron. I nie

pomyliłem się, była to bardzo zła proza -
splecione z pajęczyny dialogi, fabuła niespójna, utkana z przypadków i łataną w
porywach rozpaczliwej inwencji za
pomocą uroków i zaklęć. Jedynym, co mnie lekko zdziwiło, był sam pomysł -
zagadkowa historia bezimiennej
kobiety, która z nienawiści umierała tak, jak inni umierają z miłości.
Zmęczony absurdem, odłożyłem książkę i rozpuściłem się w kojącym brzmieniu
Brahmsa i Yo-Yo My. Po
chwili, która
46
trwać musiała kilka godzin, otworzyłem oczy i ujrzałem wiszący za oknem księżyc.
Zegar wskazywał
jedenastą, Maja nie wróciła ze szkoły. Ponownie zapadłem w sen. I przyśniła mi
się zamieć owsianych płatków i
znikająca w zamieci postać, i słońce, które wprawdzie zgasło, ale obiecało
zaświecić z chwilą spełnienia się zemsty.
O północy obudziło mnie dwanaście uderzeń zwiastujących odejście Mai.
Ostatnie tygodnie grudnia spędziłem nad wyraz spokojnie, głównie w domu, nie
znajdowałem bowiem
powodów do wyjścia. Straciłem też apetyt i nie cieszyła mnie żadna muzyka. Co do
Mai, jej nieobecność
tłumaczyłem sobie, jak wszyscy porzuceni o północy, na milion księżycowych
sposobów. Mogła wszak zapomnieć
adresu, mogła zgubić się w labiryncie ulic, mógł spaść śnieg i mogła, zmierzając
do domu, złamać nogę i zatrzymać się
u znajomych, którym obce jest przekleństwo telefonu. Nic lepiej nie koi smutku
niż gościnny świat baśni. Dopiero w

kwietniu świeży wiatr od morza wywiał z mojego serca ostatnie złudzenie.

Wykąpałem się, ogoliłem, spakowałem rze-

czy Mai do foliowego worka i posławszy worek na pożarcie mewom, pożegnałem ją

tak, jak marynarze żegnają

umarłych.

Sącząc piwo na parkowej ławce, przyglądałem się całującym się parom, a w sercu

nie czułem smutku, lecz

zdziwienie. Z gałęzi poderwał się gołąb i zniknął w chmurach, zza których

wyłoniło się słońce. Gołąb ów nie nasrał mi

jednak do puszki i poczułem się bardzo zawiedziony.

Nienawidzę podróży i podróżników, przyznał, przejechawszy pół świata, Claude

Levi-Strauss, a zdanie to

instynktownie

47

podzielać też musiał mistrz bezruchu, Henry David Thoreau. Ów nieprzekupny wróg
podróżowania urodził się

w miejscowości Concord, której nazwa tylko o samogłoskę lżejsza jest od

samolotu, ale której, jak na ironię, przez

całe życie nigdy ponoć nie opuścił. Wspominam o tym, gdyż choć sam urodziłem się

na ulicy Żyda Wiecznego

Tułacza, podróżami brzydzę się bardziej niż barszczem. Od urodzenia bowiem

fascynował mnie bezruch. Potwierdza

to matka, wspominając słodkie czasy mojego niemowlęctwa - godzinami ponoć

siedziałem ze skrzyżowanymi

nózkami i nie reagując na żadne bodźce z zewnątrz, w najgłębszym zamyśleniu

wysysałem soki z białych

dzwoneczków konwalii. Skłonność do refleksji pozostała mi zresztą na zawsze i

choć z mistrza Thoreau wyrośłem,
jak wyrasta się ze ssania kwiatów, nigdy nie wyrośłem z miłości do bezruchu.
Zapewne dlatego właśnie odkrycie
taoizmu stanowiło dla mnie nie tyle nowość, co wyzwanie. Działanie w nie-
działaniu - najprawdziwsza ze ścieżek, a
przy tym tak prosta, że trudniejsza do przejścia niż bengalska dżungla. Jak
bowiem przejść drogę, nie ruszając się z
miejsca? Oto i pytanie, które nurtowało mnie nieustannie, koan mego życia.
Czas płynął coraz szybciej. Nie wiem, czy to słabość pamięci, czy selekcja
serca, ale w zapomnienie poszła
zdecydowana większość przeżytych przeze mnie lat. Nędzne migawki z nieobecności,
strzępy fragmentów, z
kontekstu wyrwane okamgnienia, sny i melodie, cienie rozmów, zapach bliskich mi
niegdyś kobiet - to wszystko, co
pamiętałem. Wszystko to jednak zdawało się pozbawione jakiegokolwiek trwałej
substancji i choć kiedyś łudziło swym
istnieniem, to przecież zawsze pojawiało się i znikało, tak jak myśli.
Doświadczenia, nie doczekawszy wniosków, spadały niczym liście. Znow było lato i
znow miałem urodziny.

48

Ding ding

Wyrwany z zadumy, pospiesznie wsunąłem koszulę w spodnie i otworzyłem drzwi. W
progu stali wszyscy -
szczerbate piękności lat szkolnych, neurotyczne buddystki, Wołgi Nix, zagubione
Maje, Żrebaki, Edgar Allan Poe,
rumiane wdowy z Amritsaru, tłum sukienek, kobiety z siedmioma warkoczami oraz
rozkoszna synteza całego tegt)

absurdu: dwa młode, chrząkające tapiry.

Przetarłem oczy.

- Dzień dobry panu.

Młoda kobieta otworzyła torebkę, wyjęła woreczek pełen żółtych krążków i wskazując na stojącą przy niej

drugą młodą kobietę, powiedziała:

- Jesteśmy studentkami antropologii i chciałabyśmy zadać panu kilka pytań. Czy ma pan chwilę czasu?

Chwilę czasu? Czyżby przyszyły, żeby sobie ze mnie zadrwić? Nieufnie przyjrzałem się młodym twarzom,

jednak nie znalazłem w nich spodziewanej ironii. A zatem:

-Proszę bardzo, nawet trzy chwilki - westchnąłem. -Niech panie wejdą. Moje domostwo wprawdzie jest w

lekkim rozkładzie, nie spodziewałem się gości, latem wszystkich wymiata z miasta, czemu trudno się dziwić, przy

takiej pogodzie nie sposób nie wyjechać, ulice puste, ciekawe, jak sobie radzą kina, że też nikt nie wpadł jeszcze na

pomysł, żeby latem przerabiać kina na baseny - bełkotałem, prowadząc je do pokoju.

- Jestem Lara Luft, a to moja koleżanka, Lara Broccoli -powiedziała kobieta i mrużąc poufnie oko, wręczyła

mi woreczek pełen żółtych krążków. - Słyszałyśmy, że nie lubi pan buraczków, więc przyniosłyśmy słodycze...

Zaintrygowany przyjrzałem się zawartości i stwierdziłem, że żółte krążki są dokładnie tymi samymi galaretkami

w cu-

4 47 na odlew

krze, które osładzały mi gorycz dzieciństwa, a których produkcji zaprzestano
mniej więcej trzydzieści lat
temu. Wzruszenie odebrało mi głos.

- Ba... ba... ba... - bąknąłem. - Bardzo miła niespodzianka. Położyłem galaretki
na stole i schowawszy do
kieszeni drżące dłonie, normalniejszym już głosem spytałem:

- No to może herbatki? Służę rumiankiem i szalwią...

- O tak, proszę!

- O nie, dziękuję!

Obie Lary parsknęły śmiechem, a ja, nie bardzo wiedząc, co czynić, umknąłem do
kuchni. Słyszałem, jak

szeptaly, ale mało mnie to obchodziło. Nie spiesząc się, wyjąłem z lodówki

jedyną puszkę piwa, zaparzyłem rumianek

i uzbrojony w kojącą siłę chmielu, godnie wkroczyłem do pokoju. Lary siedziały
na łóżku - jedna trzymała w ręce

notes, druga, na kolanach, aparat fotograficzny. Nabożnie poważne, w milczeniu
lustrowały ściany i dopiero teraz

spozregłem, jak bardzo są do siebie podobne. Nie, z całą pewnością nie były
bliźniaczkami, ich podobieństwo miało

naturę, że tak powiem, głębszą i wynikało nie tyle z formy, co z treści. Dwie
kartki jednej książki, dwa drzewa

jednego lasu, dwa kamyki szlifowane tym samym morzem i piaskiem.

- Studenci, o ile pamiętam, mają teraz przerwę - zagadnąłem.

Lary pokiwały głowami.

- Mamy tyle zajęć, że jedynie podczas ferii jest czas na projekty - westchnęła

Lara Broccoli.

- Nasz projekt zatwierdzono zresztą już wiosną, ale nie mogliśmy pana namierzyć

- dodała Lara Luft. - To

znaczy -wyjaśniła - adres miałyśmy, ale nie byłyśmy pewne, czy pan to

rzeczywiście pan. Więc musiałyśmy robić

recherche. W klinice

50

położniczej, w Urzędzie Miasta, w szkołach, na policji, w dzielnicy, na poczcie,

w środowisku...

- ...aż w końcu stwierdziłyśmy, że pan to z całą pewnością pan i że można zabrać

się do roboty!

Chmiel. Są sytuacje, w których powolny łyk piwa jak balsam koi targaną

niepokojem duszę, toteż nie bacząc

na reguły gościnności, wybiegłem na balkon i rozpaczliwie* wessałem się w

puszkę. Piwo wychodziło mi nosem i

splywało po brodzie, dopiłem je jednak do końca. Dzień był doprawdy piękny,

gruchały gołębie, z oddali dochodziło

szczekanie psa i wrzask dziecka, na sąsiednim balkonie mężczyzna naprawiał

krzesło. Każde uderzenie jego młotka

przywracało mnie rzeczywistości. Zgniotłem puszkę i zupełnie już opanowany

wróciłem do pokoju.

- Buuuuhuh!

Okrzyk zwycięzcy sprawił, że Lary wyprężyły się na łóżku niczym podłączone do

prądu pingwiny. A ja, na

tyle już beztroski, by udawać beztroskę, przysiadłem na parapecie.

- Czy można wiedzieć, drogie dzieci, o co, do diabła, wam właściwie chodzi?

Projekt, powiadacie, ale co za

projekt? Lary błyskawicznie porozumiały się wzrokiem.

- Chodzi o miasto...

- ...to znaczy, chodzi o pana. Z naszych badań wynika, że jest pan jedynym mieszkańcem, który opuścił miasto tylko siedmiokrotnie i sądząc z korespondencji, zawsze zamierzał pan do niego jak najszybciej wrócić. I tak też pan zresztą czynił, gdyż każdy z wyjazdów już po czterech dniach stawał się dla pana torturą. Przekraczał pan granice chronionego terytorium, dochodził pan do kresu fizycznego i moralnego cierpienia, do krawędzi, z której można spaść na drugą stronę i przepaść, albo, przeciwnie, można zdobyć moc, dzięki której lokalny porządek społeczny przestaje obowiązywać.

51

- Mówiąc inaczej, wszelkie pana wyprawy, zarówno te mentalne, jak fizyczne, miały charakter inicjacyjny i porównać się dają do prób, jakim poddawali się pokwitający chłopcy 2 indiańskich plemion Ameryki Północnej.

Oczywiście próby te różnią się pod względem formalnym. Pan nie podróżował samotnie na tratwie, nie zapuszczał się pan w dżunglę na długie tygodnie, nie obcinał pan sobie palców i nie rozdzierał ścięgien poprzez wprowadzenie pod muskuły ostrych kołków przytwierdzonych sznurami do ciężarów...

- ...ale liczy się sama próba, a nie jej przedmiot!

- Tak, pan przedzierał się samotnie przez innego rodzaju dżungle. Pan narażał się na niezwykle przeżycia, samoranił pan nie tyle swe ciało, ile duszę, i nie bacząc na głos rozsądku, eksplorował pan najskrytsze zakamarki swej

wytrzymałości. Powracał pan potem w blasku błędnego rycerza, który sam się pasował i którego społeczeństwo traktowało z szacunkiem i wstrętem, gdyż stawał się coraz bardziej niepokojącym zjawiskiem.

- Ale nigdy nie zboczył pan z naturalnej orbity! Nie porzucił pan miasta, choć z tego, co wiemy, miasto odrzuciło pana miłość. Pan jednak pozostał mu wierny i kochając bez wzajemności, dał pan wyraz prawdziwemu uczuciu.

W tym momencie Lara Broccoli powstała z łóżka, wymierzyła we mnie obiektyw i zrobiła, bardzo szybko, jedno po drugim, kilka zdjęć. Moja pewność siebie ustępować zaczęła miejsca bezgranicznemu zdumieniu.

- Hm - powiedziałem. - Hm.

- Bardzo to wszystko interesujące - dodałem.

- Owszem, mają panie, w pewien sposób, rację - przyznałem.

- Zastanawia mnie jednak, skąd czerpią panie ową wiedzę o mojej osobie. Poczta, powiadacie, poczta... Za pozwoleniem, 52

czy mam uważać, iż korespondencja moja jest od lat kontrolowana? Zdajecie się wiedzieć o mnie więcej niż

ja sam, i fakt ów bezgranicznie mnie peszy. Panie wybaczą, ale przy całym szacunku dla wniosków, stawiam veto w kwestii metody!!! Zawołałem, ale nikt nie usłyszał.

-1 dlatego właśnie... „

- ...na placyku przed sklepem, który kiedyś był lokalem Zielone Jabłuszko...

- ...postanowiliśmy postawić pana pomnik.

Zamarłem. Lara Broccoli zerwała się z łóżka, podeszła do mnie i zrobiła zdjęcie moich oczu, a Lara Luft,

uśmiechając się z satysfakcją, wypełniła stronę kajecika rzędem liter.

Spokojnie, spokojnie.

Z trudem łapałem oddech. Powstałem z parapetu i nie wiedząc, dokąd pójść,

okrążać zacząłem pokój. Od

dzieciństwa prześladowała mnie straszna myśl o śnie, który nie kończy się nigdy,

gdyż przebudzenie śni się tak samo

jak cała reszta. Upiorna wizja magicznych realistów! Borges, Kobo Abe, Murakami,

Marquez...

- Jaki, kurwa, pomnik?! Jestem żywy, szukam i błędę, to wszystko!

Wrzasnąłem, ale sen trwał nadal.

- W mieście jest obecnie siedemset trzydzieści sześć świątyń, po dwie mniej

więcej na każdy dzień roku, ale

tylko osiemdziesiąt pomników, z czego zresztą, jak obliczyliśmy, tylko cztery

nie są pomnikami świętych. - Lara

Broccoli głos zniżyła do szeptu. - Kiedyś sytuacja była nie tyle może lepsza,

ile odwrotna, jednak wiatr ostatnich

dekad ogołocił cokoły z profanum i zdziesiątkował nam bohaterów...

- ...co sprawiło, że równowaga pomiędzy profanum a sacrum ponownie uległa zachwianiu.

53

- No właśnie. A trzeba panu wiedzieć, że ten typ dyshar-monii jest główną

przyczyną zguby nie tylko licznych

plemion, ale całych narodów i kultur. Nambikwarowie, Tybet, że nie wspomnę o

Majach...

- Mówiąc więc krótko, by wyrównać dysproporcję, postanowiliśmy postawić sześćset

pięćdziesiąt sześć

pomników osobom zupełnie świeckim. Pan jest na naszej liście pierwszy.

Lary zastygły w tryumfalnym milczeniu, a ja, wiedziony piekielnym przeczuciem,

przypomniałem sobie nagle

opowiadanie Egara Allana Poe „Studnia i wahadło”. Podłoga paliła me stopy,

powietrze drażniło nozdrza, a serce,

podskoczywszy do głowy, waliło w mój lewy ucho niczym dzwon zwiastujący

schyłek. Poddawany torturze, z

trudem przełknąłem ślinę, a duch mój, poniechawszy bez mała walki, wyraził swą

mękę w ostatecznym krzyku

rozpaczy:

- Dlaczego ja?! JA PRZECIEŻ NIC NIE ZROBIŁEM! Lary klasnęły w dłonie.

- Bingo! - zawołała Lara Luft. - Bingo! Właśnie o to nam chodzi! Szukamy

bohaterów, którym nic nie można

zarzucić ani dziś, ani potem!

- Gdy wysunięto pana kandydaturę, byliśmy trochę sceptyczne - przyznała Lara

Broccoli. - Dokładnie

jednak zbadaliśmy pana życie i okazało się, że rzeczywiście nie zrobił pan

zupełnie nic! Był pan spokojnym

dzieckiem, przeciętnym uczniem i obojętnym studentem, nie wslawił się pan żadnym

skandalem, miłość, tak jak i całe

życie, przeżywał pan głównie w wyobraźni, a za jedyną aberrację w młodości uznać

można ćwiczenie tai chi na

balkonie i wiarę w birmańską paproć. Niczego pan też później nie ogłosił, nic

nie wydrukował, nigdzie się pan nie

zrzeczył, ani, jak już wiadomo, donikąd na dłużej nie wyjechał. Nikomu pan nie

szkodził, nikomu nie pomagał, 54

ba, nawet nie pracował pan nigdzie, przynajmniej dłużej niż tydzień. Opanował pan przy tym rzadką sztukę znikania bez śladu, co potwierdza komornik, dwie były narzeczone oraz kilku byłych znajomych. Poruszał się pan, że tak powiem, nie ruszając, istniał pan, nie istniejąc...

-1 dlatego właśnie jest pan idealnym materiałem na pomnik, gdyż mamy wszelkie podstawy, by sądzić, że nie zwieje pana wiatr historii!

- Nasz bohater!

-Nasz-bo-ha-ter-nasz-nasz-nasz-nasz-nasz!

-Nasz-nasz-nasz-nasz-nasz-nasz-nasz! Nasz nasz nasz nasz...

Nasz nieskończony polonez, pomyślałem i chwiejnym krokiem wyszedłem na balkon.

Otworzyłem oczy i ze zdumieniem stwierdziłem, że bohater wciąż jeszcze śpi. Usta miał rozdziawione, dłoń

zaciskał na własnej dłoni, a jego drobne stopy baletnicy wystawały spod kołdry i nie pasowały do żółtej, niezdrowo

obrzmiącej twarzy. Na jego czole zastygł sztywny od potu kosmyk.

Mimo iż wydał mi się żenujący, poczułem do niego sympatię.

Dochodziło południe. Słońce świeciło tego dnia jaśniej niż zwykle, toteż nie

tracąc czasu na poranne refleksje,

zerwałem się z łóżka, założyłem czapeczkę z daszkiem i czym prędzej wybiegłem z

domu. Czerwcowe powietrze było

świeże i lekkie i zdawało się nie stawiać oporu jakiegokolwiek materii. Szedłem

ni to powoli, ni szybko, bardziej

płynąłem, niż kroczyłem, a myśli moich nie rozpraszał swojski smutek rytualnych

przechadzek. Nawet tradycyjne

kłucie w pęcherzu ustąpiło

bez śladu. Tak, dawno już nie czułem się tak dobrze i choć nie wiedziałem, dokąd idę, iść pragnąłem w nieskończoność. Minęła mnie kobieta z czarnym jak smoła psem, a ja, mimo iż psów bałem się tak samo jak ich właścicieli, tym razem, zamiast lęku, w sercu poczułem czułość. Czarny pies podbiegł do mnie, zawył, i obwąchawszy mi spodnie, uciekł z podkulonym ogonem. W tej samej też chwili po raz pierwszy od dawien dawna poczułem zapach ksiąg i manuskryptów. Telepatia, empatia, intuicja?

Z poważną miną, jak gdyby nigdy nic, przede mną szła Wołga Nix. Lekko zgarbiona, z nieodłącznym papierosem w ustach, z rączką od torby przewieszoną przez ramię. W uszach jej dostrzegłem rubinowe kolczyki z pracowni Ad-harmy Ratny, nieszczęsny prezent na urodziny w zamierzchłych czasach jej złudzeń i moich łgarstw.

Kolczyki owe, lub raczej ich szczątki, spoczywały teraz w dolnej szufladzie biurka, obok zwitka mych listów, podręcznika feng shui oraz zdjęcia łysiejącego mężczyzny. Ale tak naprawdę to nie kolczyki mnie zaskoczyły, ale same uszy. Szła wolno, jednak nie chciałem jej doganiać, nie bardzo bowiem wiedziałem, jak zacząć rozmowę.

Przystanąła nagle.

- Chodź tu, no już, nie będę wiecznie czekać!

Do nogi Wołgi Nix podbiegł pies, a to, co uznałem za rączkę od torby, okazało się smyczą. Pies był duży i czarny i nie mogłem uwierzyć, że należy do niej. W zamierzchłych czasach łgarstw

i złudzeń nie znosiła wszak dużych i

czarnych psów!

- To upokarzające zarówno dla dużego czarnego psa, jak i dla właściciela! Ta

smycz, te spacer, to rzucanie

patyka i wyczekiwanie pod krzakiem, aż się wysra - powtarzałem na widok dużych

czarnych psów, a Wołga, jak

zwykle ze mną zgod-56

na, na znak aprobaty wykrzywiała usta w podkowę i do wszystkich diabłów odsyłała

psy wraz z ich

właścicielami.

- Żebrak potrzebuje swojego żebraka - powiedziała kiedyś, ale zdanie to, jak

wszystko, co mówiła, puściłem

mimo uszu i nie wyczułem w nim przepowiedni.

Ciepłe powietrze czerwca owiewało mi twarz, a przede mną, z obojętną miną

zwycięzcy i dużym czafnym

psem przy nodze, szła Wołga Nix. Kontur jej postaci rozmywał się w słońcu,

zdawała się wydłużać i kurczyć niczym

cień rzucany na powietrze i dopiero po chwili, gdy przykucnęła na trawniku,

pojąłem, dlaczego zaniepokoiły mnie jej

uszy. Nieprzyle-gające do głowy, wyprężone w nasłuchiowaniu, czujne uszy lęku

sterczały nad głową Wołgi Nix i

stanowiły dokładną kopię uszu czarnego psa! Jej odsłoniętą szyję szpecił ciemny

ślad po obroży, a z oczu,

nienaturalnie okrągłych i gorzkich, wyzierały wieki potajemnie gromadzonych

pretensji. Zdumiony nie tyle jej

wyglądem, ile faktem, że nigdy dotąd nie byłem go świadom, bez słowa ją

wyprzedziłem. Nie zauważyła mnie zresztą

- pochylona nad kępką trawy, mamrotała zaklęcia i wyraźnie czegoś szukała.

Wyprostowała się nagle, wyszczerzyła

zęby i z siłą klątwy rzuciła przed siebie kamyk.

- Urodziłam się po to, by cię dręczyć! Odskoczyłem w ostatniej chwili.

- Czyś ty, kurwa, zgłupiała?

Pies pognał za kamieniem, a twarz Wołgi Nix rozjaśnił uśmiech najwyższego zdumienia.

- No popatrz, co za telepatia - powiedziała, machając ręką. - Właśnie chciałam do ciebie dzwonić, bo,

wyobraź sobie, ten kutas znowu mi się przyśnił!

Przetarłem spocone czoło, wziąłem głęboki oddech i pokręciłem głową.

57

- Wołgo, Wołgo, co ty wyprawiasz? Mogłaś mnie zranić, mogłaś rozwalić mi czaszkę tym kamieniem!

Przepraszam, że krzyczę, wiem, że masz do mnie żal, ale słuchaj, minęło już tyle czasu, czy nie możemy porozmawiać normalnie?

- ...I wiesz, co powiedział? Powiedział: „Wołgo, wiem, że masz do mnie żal, ale czy nie możemy porozmawiać normalnie?”...

Ostupiały, spojrzałem w małe oczy krótkowidza, a ona, na wylot przesywając mnie wzrokiem oszalałej z

nienawiści kobiety, wyjęła z kieszeni garść owsianych płatków i jęknęła: -No i co teraz?

- Teraz nie ma już nic, musisz o nim zapomnieć - powiedział stojący za moimi plecami mężczyzna. - Zrobiłaś

co mogłaś, walczyłaś do końca, ale niestety, magia, nawet ta najczarniejsza, nie

ima się pomników...

Mężczyzna podszedł do Wołgi, potrząsnął jej dłonią i w chwilę potem na mą głowę,
na trawę, na pobliskie

domy i na całe miasto spadł przeraźliwie gęsty deszcz owsianych płatków. Płatki
owe znikły wraz z dotknięciem

ziemi, a powietrze przez chwilę nie pachniało zupełnie niczym.

- Wołgo, o co w tym wszystkim chodzi? - zawołałem.

Ale nikt nie odpowiedział. Niemy wiatr czerwca owiewał mi twarz, dochodziło
południe. Słońce świeciło

jaśniej niż zwykle, więc czapeczkę nasunąłem na oczy i wyruszyłem na spacer.

Szedłem ni powoli, ni szybko, bardziej

płynąłem, niż szedłem. Mijałem drzewa i ławki, mijałem alejki i klomby, mijałem
setki parków, w których kobiety,

spacerując z czarnymi jak smoła psami, spoglądały w przeszłość nienaturalnie
okrągłymi oczami. Na mym nosie

przysiadła mucha, a ja, krążąc ponad miastem, poczułem się jak samolot.

Było kwadrans po jedenastej i ze zdumieniem stwierdziłem, że mieszkanie pełne
jest gości i że wielu z nich,

mimo moich rozpaczliwych sugestii, pali papierosy. Skandal, po prostu skandal!

Chrząknąłem, ale nikt nie usłyszał.

Przetarłem oczy, zakaszlałem wymownie, ale choć byłem najstarszy, nikt nie
zwrócił na mnie uwagi. Huknąłem więc

co sił w płucach, zamachałem rękami i wykonałem w powietrzu tafltryczny piruet,

który odgania demony i neutralizuje

smrody. Niestety, subtelne metody nie wzruszały ściany ignorancji, której

rozbicie domagało się raczej bomby. Ach,

jakże bezsilnymi czyni przemoc swoich przeciwników! W ostatecznym odruchu

rozpaczy padłem na kolana,
zagroziłem głodówką i nie wiedząc już, co czynić dalej, z godnością położyłem
się na łóżku i zamilkłem. Tymczasem
dym coraz bardziej drapał mnie w gardle, w ustach czułem smak siarki, a mój
centralny kanał stopniowo wypełniało
szare, przytłumione światło piekieł. Z niemą rezygnacją patrzyłem, jak moi
goście popiół strząsają na dywan,
niedopałki wrzucają do doniczki z birmańską paprocią i pochłonięci rozmową
ignorują moją osobę. Wszyscy przy
tym zdawali się mówić jednocześnie, ale choć mówili w tym samym języku, każdy
rozumiał tylko siebie.
Nie sądzę, bym przesadnie przywiązany był do swego mienia, ba, nie bardzo wiem
nawet, do czego mógłbym
się przywiązać. Prócz birmańskiej paproci i kolekcji japońskich dzwoneczków
posiadałem tylko starą mapę Francji,
chińskie pióro typu Hero i uroczy słoiczek po piemonckich wiśniach. Z
imponującej biblioteki, którą wraz z płytami
przejadłem w gorzkich czasach swych upadków, pozostało na półce jedynie „Życie
termitów” Maeterlincka, trzy
tomiki wierszy Żrebaka oraz kilka broszurek z dziedziny alchemii, tai chi i feng
shui. Jakkolwiek skromny, dobytek
ów, tak jak i osobista bielizna, bez
59
wątpienia należał do mnie, jednak fakt ten zdawał się zupełnie nie obchodzić
moich gości. Ze śmiechem
wertowano broszurki, wączano ścianki słoika, a rozbawiona, boleśnie do Mai
podobna dziewczyna wyjęła z szafki

moje kalesony i na arenie stołu toczyć jej walkę z niewidzialnym bykiem.

- Zniewaga, grubiaństwo, profanacja relikwii!

- Fin de siecle! Barbarzyństwo! Cynizm!

Bliźniaczo od siebie różne oburzone kobiety wyrwały jej kalesony, troskliwie
złożyły je w kostkę i położyły na
skraju łóżka.

- Nie ruszać, pod ochroną!

- Pod ochroną? To jego było chronić, a nie kalesony. -Dziewczyna o twarzy Mai
zeskoczyła ze stołu i z

wyrzutem spojrzała po zebranych. - Żyłby szczęśliwie i długo, gdyby ta kurwa z
muzeum na czas zdjęta z niego
pajęczynę swoich zaklęć!

Głos jej zagłuszyło dochodzące z balkonu rzenie i z przykrością stwierdziłem, że
mężczyzna w białym turbanie
siusia właśnie na głowy przechodniów. Ktoś zaklaskał, jakiś grubas wzniosł toast
za Basquiata, a dwie bose kobiety
obtańczać zaczęły moje łóżko.

- Był jak drzewo, z którego wyssano soki - słowa dziewczyny o twarzy Mai
dryfowały na fali radosnego

gwaru. - Oczywiście, nawet się nie domyślał, że to jej robota, bo on był
mężczyzną, ale jak tylko mój gołąb nasrał mu

do piwa, od razu wyczułam działanie kobiecej mocy. Patrzył nie widząc, szedł nie
idąc, mówił milcząc. To dopiero

pod moim wpływem zaczął wracać do życia, bo moja młodość wyleczyła go ze
starości. Zakwitł, wypuścił pąki,

przystało go też kłuć w pęcherzu. Byłam pewna, że tamta dała spokój, ale nie
doceniłam uporu serc opętanych

zemstą. Bo ona, jak się okazało, wcale sobie nie poszła, ona się tylko
przyczaiła w zakamarku pamięci

60

i wkrótce objawiła się z nową siłą. Podrażniona szczęściem, które jej samej nie
było pisane, krążyła nad

naszym życiem i zasiewała niepokój. To był dziwny niepokój, taki metafizyczny.

Nie wierzyłam oczywiście w klątwy,

duchy czy temu podobne, nikt już w mojej klasie nie wierzył...

Gwar nagle przycichł, a mężczyzna w turbanie podszedł do półki z książkami i

otworzywszy na chybił trafił

tomik poezji Żrebaka, recytować jął strofę wpatrzonemu w niego grubasowi:

Program dnia mam nieskomplikowany

Zajadam się ciastkami z daktylami Rozczuła mnie popkultura lpyzate piękności

zAmńtsaru! Powietrze zadrżało od

owacji.

- Byliśmy wolnym od zabobonów rocznikiem, zdrowym pokoleniem, które wiarę
zastąpiło niewiarą. -

Dziewczyna o twarzy Mai uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Gardziliśmy metodą
poznawczą w stylu wróżb i

wyroczeni, zdemaskowaliśmy kwestię dzieworódtwa, dowiedliśmy, że odciski na
skałach nie są dziełem stopy, lecz

dłuta, i obaliliśmy mit o wielogłowych smokach. To pogodne podejście do

transcendencji wyzwoliło z okowów grozy

nie tylko nasze życie, lecz i sztukę, i jęków szatana w szumie sosen nie

słyszeli już nawet najsza-

leńsi poeci.

Grubas wspiął się na krzesło, z kieszeni wyjął zwitek pomiętych kartek i ryknął:

Było to wczoraj z rana Dali mi banana Jeszcze teraz mam go Mam też matę mango

-Więc ja wiedziałam, że duchów nie ma, ale to, co się działo, naprawdę urągało

rozsądkowi. - Dziewczyna o

twarzy

61

Mai twarz ukryła w dłoniach. - Na przykład notes, mój własny notes - nagle pełen

zapisków wykonanych nie

moją ręką. Albo ściana, która nagle zaczynała płakać. Albo smutek - fala

straszego smutku, która zalewała mnie

nagle na widok paczki owsianych płatków. Tak, wszystko to rzeczywiście było

dziwne. Nie wierzyłam jednak w

czary i choć czułam jej ciągłą obecność, wolałam udawać, że niczego nie czuję.

Niestety, z czasem stawałam się coraz

bardziej zmęczona - póśniłam za dnia, a nocami spać mi nie dawał mdły zapach

mięty i szprotek. Coraz bardziej

zaczynałam się bać. Nie, nie jej. Siebie się coraz bardziej bałam, bo to tylko

ze mną coś się działo. Straciłam apetyt,

zamilkłam, tygodniami bez celu przemierzałam ulice. Dziwiło mnie tylko, że do

niego nic nie dociera. Samotna, jakże

samotna męka... Pewnego popołudnia pojęłam jej sztuczkę - z perfidią inkwizycji

niszczyła nie jego, lecz to, co zdołał

pokochoać, czyli mnie. I nagle wszystko stało się jasne. Zrozumiałam szelest i

drapanie w ścianę, rozumiałam sny i

zapachy, rozumiałam wszystkie sygnały, które docierają do niewinnych, aby zabić

przeklętych. Właśnie wtedy coś

we mnie pękło. Wola życia okazała się silniejsza niż miłość, byłam wszak za

młoda na obłąd. Pewnej zimy wybiegłam

więc na brzeg morza, pożegnałam w myślach myśl o domu i odpłynęłam wraz z
pierwszą falą, zostawiając go na
pastwę niewiadomej.

Ding ding - ding ding - ding ding

Ukryta pod makijażem brunetka zadzwoniła złotą bransoletką.

- Miłość, ha ha ha, a to się uśmiełam! - Brunetka zaśmiała się nieprzyjemnie. -

A co wy wszyscy wiecie o

miłości? Czy ktokolwiek jak krab pełzał w oceanie waszej egzystencji? Czy

wykrzykiwał przez sen wasze imię? Czy

budził się z kamie-

62

niem na sercu, nieprzytomnie krążył po pokoju i czekając na cud, hipnotyzował
telefon?

Głos brunetki zniknął w tłumie głosów, a ja przypomniałem sobie nagle, że

przecież czeka na mnie z obiadem

matka, i zatęskniłem do niej, tak jak rozbitek w morzu tęskni do słodkiej wody.

Jakże szybko unosi do celu na swych

skrzydłach tęsknota! Ledwie co pomyślałem o matce, a ujrzałem siebie stojącego

bez słowa w kuchni swego

dzieciństwa, ale choć przed chwilą tutaj właśnie pragnąłem się znaleźć, nie

wypełniała mnie radość, lecz niepokój.

Rozejrzałem się wokół. Nic się tu nie zmieniło, te same firanki w kratę,

koronki, zatknięta za szybę kredensu

pocztówka, hebanowa maska, zdjęcie chłopca w marynarskiej czapce. Stół, jak

zwykle, nakryty był dla dwóch osób,

zaniepokoiło mnie tylko, że rosół w garnku przypomina ściętą mrozem kałużę i że

talerze są zakurzone. Tknięty

niejasnym przecuciem obiegłem pokoje, ale matki nie było w domu. Oczywiście,
jak długo miała czekać, ostatni raz
byłem tu zimą, teraz znowu mieliśmy lato. Tak, lato, najokrutniejsza z pór roku,
demon rozszalałej kobiecości - setki
nóg i piersi, odsłonięte pachy, na ramionach kropelki potu... Ja jednak
przejrzałem naturę demona. Cała sztuka
polegała na tym, by nie zamykać oczu, ale właśnie patrzeć, patrzeć
nieustraszenie i rozbierać wzrokiem aż do końca.

Znaczy, nie poprzestać na zdjęciu sukienki, ale heroicznie brnąć dalej i zdjąć z
kobiety też skórę. Z reguły zdjęcie
skóry wystarczało, choć przyznaję, czasami musiałem przenikać ją jeszcze
głębiej. Przedzierałem się przez mięśnie i
ścięgna, penetrowałem tkanki, docierałem do wątroby i jelit, i dopiero wtedy,
niczym Mahatma wyzwolony z żądz,
kontemplowałem kobiece piękno w jego obdartej ze złudzeń formie. Od tamtej
chwili myśl o rozkładzie pojawiała się
na widok każdej

63

mijanej kobiety, a wiedziona przecuciem matka, wyczytawszy z moich oczu swoją
przyszłość, ostatecznie
pożegnała się z myślą o wnukach. Nikt nie znał mnie tak jak matka; z czułością
patrzyłem teraz na stojące w korytarzu
buty. Woda kapła z nieszczęlnego kranu, znowu było lato, a ja nawet nie
uprzedziłem, że się spóźnię na obiad.
Jakże szybko uciekać nakazuje tęsknota.
W mieszkaniu panował półmrok, a w oparach dymu i piwa unosił się swojski zapach
zamierzchłej przeszłości i

konopi.

- Mało tego, nie tylko pełzał, ale nawet chciał dla mnie umrzeć! Tylko że co mi po trupie, ja lubiłam życie -

ciągnęła swój monolog brunetka. - A życie kosztuje. Musi się człowiek ubrać, musi umalować, a im dalej żyje, tym bardziej musi. Ja do jednej twarzy potrzebuję trzy kremy, proszę bardzo: na policzki i czoło, pod oczy i na brodę.

Więc co mi z tego, że on pełzał i że chciał dla mnie umierać? No co?

- Nic, skarbie.

Mężczyzna w białym turbanie przysiadł na skraju mojego łóżka.

- Nic - powtórzył. - W Sparcie takie przypadki jak on kasowano tuż po urodzeniu, aby zaoszczędzić im

późniejszych rozczarowań. Dzisiaj odsiew następuje znacznie później, w okolicach trzydziestki, i biada temu, kto do

tego czasu nie wykaże się i nie spełni! Koniec, Narayana, Finimondo! Ach, w końcu nie do starości wieszcz napisał

odę, a wieszczowie myślą się niechętnie. Wystarczy się zresztą rozejrzeć:

najładniej śpiewają dziś przedszkolaki, dobry

żołnierz mniejszy jest od swojej broni, a pisarze do szczytu sił twórczych

dochodzą z reguły przed mutacją! Kto w tej

sytuacji odważy się inwestować w czterdziestosiedmioletniego starca ze

schorowanym pęcherzem? No kto? Żaden

szef się nie odważy i żaden wydaw-

64

ca, nawet żadna rozsądna dama, która nie wytrzyma przecież długo bez trzech kremów do jednej buzi!

-Pan jest cyniczny!

- Pan mu zazdrości pomnika!

Bliźniaczo różne od siebie kobiety na znak protestu wybiegły na balkon.

- Ja cyniczny? To nie ja, aniołki, to życie. A* ja mu nie zazdroścę, lecz

podziwiam siłę, z jaką do końca

wkraczał w kolejne etapy rozwoju. Czterdzieści siedem lat nieustraszonych

porażek, genialny, doprawdy genialny

dyletant! Nawet listów nie umiał pisać, choć pisarzom z reguły listy wychodzą

lepiej niż książki. Powiedział. Ktoś coś

odrzekł. I ktoś jeszcze. I jeszcze. I jeszcze. I jeszcze.

Rozbolała mnie głowa.

Było kwadrans po jedenastej, przy łóżku bohatera kłębili się goście mojej

nieszczęsnej pamięci, ale choć

wszystkich znałem, bliskość ta coraz bardziej zdumiewała mnie teraz swą

obcością. Także bohater oddalał się coraz

bardziej i zrobiło mi się nagle smutno. Zaszło mi w nosie i ustach, lodowate

stopy i dłonie ciążyły mi wraz z całym

ciałem, a nierówny, zachłanny oddech stawał się z każdą sekundą płytszy.

Zaciągnąłem się znikającym powietrzem i w

tej samej chwili słońce zgasło i wszystko stało się jasne.

i

Buraki

Random Zwanzig, jak wyznała Marta, nie uciekał z kobiety ani zaraz po, ani też

krótco potem, ale pozostawał

w niej na długie minuty, godziny, a czasami nawet na całe tygodnie. Jeśli jednak

wierzyć słowom Marty, to nie seks

zaważył na decyzji, którą podjęła w marcu, a której skutki w osłupienie wprawiły

cały kraj.

Wszystko zaczęło się zeszłego roku. Marta, śliczna studentka historii sztuki i politologii, w ostatniej chwili odwołała swój udział w wycieczce do Ameryki i ku ogólnemu zgorszeniu lato postanowiła spędzić w tartaku. Zwariowałaś, w planie mamy Metropolitan Museum i Pentagon! Tak, tak, kiwała głową Marta, tylko że ja jestem zmęczona. Dość mam Pentagonów, Oktagonów, Pergamonów i czego tam jeszcze, uwielbiam zapach żywicy i drewna i po prostu chcę wyjechać na wakacje do lasu. Sam profesor Pumma próbował interweniować. Taka szkoda, Marto, drzewa nie mają przecież oczu, za to przez pani nieobecność ucierpi estetyka naszej grupy. Jeśli pan też nie pojedzie, to ucierpi mniej. Od tej chwili nikt już jej nie namawiał. Wraz z rozpoczęciem ferii spakowała więc plecak, pospiesznie pożegnała rodziców i nikomu nie zostawiwszy adresu, odjechała podmiejskim pociągiem.

66

Słuch o Marcie zaginął od tej chwili na długie tygodnie. Nawet esemesa nie wysłała, wyrodna córka. Ach, oni wszyscy dzisiaj tacy. A jeśli dopadł ją jakiś drwal? Natychmiast wypluj te słowa! Niepokój rodziców pęczniał niepokieszenie i eksplodował w dniu rozpoczęcia roku akademickiego. Marfa nie wróciła z wakacji i nawet profesor Pumma, choć wciąż urażony, nerwowo zaciskał mokrą dłoń na słuchawce i nie bez satysfakcji podejrzewał najgorsze. A więc żadnego esemesa, żadnej widokówki, nic? W dniu wyjazdu wyłączyła

telefon? Cóż, młodzież potrafi być bardzo okrutna, a wiadomo nam choćby z Boscha, jak skończyć mogą okrutnicy...

Nie wszyscy oczywiście, nie wszyscy! W głębi duszy Marta była, i oczywiście mam nadzieję, że nadal jest, osobą serdeczną i dobrą, przyznam jednak, że od pewnego czasu niepokoiła mnie kwestia jej preferencji. Tych intelektualnych i estetycznych ma się rozumieć, gdyż na temat innych nie mogę się wypowiedzieć. Ale sami przyznacie państwo, że to dość niepokojące, jeśli studentkę politologii i historii sztuki nagle bardziej przyciągać zaczyna tartak niż Pentagon! Osobiście uważam to za ostrzegawczy sygnał i sądzę, że już dawno powinniście zawiadomić policję.

Dokładnie w chwili, gdy profesor Pumma zniknął wraz ze swym głosem, w progu mieszkania cała i żywa stanęła Marta. Promieniała szczęściem, a w dłoni ścisnęła zdjęcie.

- A więc postanowiłam wyjść za Randoma Zwanzig i na zawsze już tam pozostać!

Była to opowieść zaczęta od środka, a początek jej, jeśli w ogóle istniał, brzmieć mógł następująco:

Pociąg, w który Marta wsiadła pierwszego dnia wakacji, wyglądał wprawdzie na podmiejski, w rzeczywistości jednak

67

był pociągiem dalekobieżnym i wywiózł ją aż pod wschodnią granicę państwa.

Dlaczego właśnie tam?

Odpowiedź jest prostsza, niż można sobie wyobrazić! Otóż Marta wbrew temu, co powszechnie sądzono, i co sama zresztą ogłosiła, nie zamierzała bynajmniej spędzić lata w tartaku. Co więcej,

jak potem przyznała, prawdziwy tartak
widziała tylko raz w życiu, mając lat osiem, kiedy to przypadkowo zapędziła się
z grupą zuchów w niewłaściwą część
lasu. Zrobił na niej wrażenie tak bezbrzeżnie przygnębiające, że poprzysięgła
sobie już zawsze omijać tartaki.

Tak naprawdę Marta wsiadła po prostu do pociągu, który jechał najdalej, a wersja
z tartakiem zrodziła się,
cytując jej słowa, na zasadzie odległych skojarzeń z płaską dupą profesora
Pummy. Tak się bowiem nieszczęśliwie
składało, iż ów typ poślaków od dzieciństwa napawał ją smutkiem równie
bezbrzeżnym jak tartak, i choć to
oczywiście niesprawiedliwe i przykre, instynktownie unikała ludzi o posturze
sosnowych desek. Ponadto wyczuwała,
że Pumma nie tylko się w niej kocha, ale jest też przy tym naprawdę
niebezpieczny. „Tajemnice kobiet rozgryzam
równie szybko jak tajemnice państw”, powiedział kiedyś, chichocąc, i tego już
było za wiele. Pożegnała więc w
myślach wyjazd do Ameryki i wsiadła do pociągu, który odjechał w kierunku
przeciwным do wszystkiego.

Stacja, na której wysiadła, nie była nawet oznakowana i tak przy tym mała, że
pociąg przystanął zaledwie na
kilka sekund i zaraz potem zniknął, tak jakby go nigdy nie było. Marta ze
zdumieniem stwierdziła, że przerdzewiały
tory zarośnięte są trawą i że okrąglą polaną, na której się oto znalazła, otacza
biały pierścień brzeziny. Wypaliła dwa
papierosy, rozejrzała się wkoło i nie znajdując ścieżki, na chybił trafił
przekroczyła obręcz pierścienia.

Wbrew własnym oczekiwaniom iść nie musiała wcale długo, po niespełna kwadransie bowiem zagajnik

wyraźnie się przerzedził, a powietrze wypełnił niespodzianie swojski zapach palonych liści. Zapach ów mieszał się też

z innym jeszcze zapachem, który, choć równie znajomy, bardziej niepokoił niż kusił. Nie wiedzieć dlaczego Marta

zdjęła buty i przyspieszywszy kroku, bosą podążyła za niepokojącym zapachem.

I tak jak ze snu wyłania się jawa, z lasu wyłoniła się nagle wioska.

Wioska zdawała się zupełnie wymarła. W kałużach ścieżek odbijały się plamy koślawych chałup, na zimnych

kominach tkwiły apatyczne wróble, mech porastał szczerbate płoty i jedynie pod szkieletem obesranej kapliczki

kołysały się płomyki kilku świeczek. Marta ze zdumieniem stwierdziła, że płomyki te nie są żółte, lecz czerwone, i że

ich widok napawa ją osobliwą, bezprzedmiotową radością. Zaciekawiona podeszła więc bliżej i zamarła, to bowiem,

co ujrzała, przerosło nawet brak jakichkolwiek oczekiwań. Za rzędem świeczek, w miejscu, gdzie zazwyczaj stoi

figura świętego, leżał monstrualnych rozmiarów burak.

W tej samej chwili do uszu jej dobiegł śmiech. Był to śmiech tyleż donośny, co zaraźliwy i najwyraźniej

dochodził z którejś z obumarłych chałup. Marta oderwała wzrok od buraka i rozbawiona nagle widokiem dziury w

płocie, zachichotała najpierw niepewnie, potem głośniejsze, aż w końcu, zaśmiewając się bez pamięci, lekkim krokiem

podążyła ku śmiechowi jak ku światłu.

- Przecież on wygląda jak armatni wycior! Krótka radość z powrotu Marty

brutalnie skończyła się z chwilą,

gdy rodzice ujrzeli zdjęcie Randoma Zwanzig. Przy-

69

szły zięć w rzeczy samej prezentował się dość osobliwie, wyglądał wszak nie tyle

jak armatni wycior, ile, jak

stwierdziła matka, nie wyglądał w ogóle. Nawet nie widać, gdzie kończy się jego

twarz, a zaczyna buraczane pole!

Byłaby to uwaga bardzo trafna, gdyby nie oczy Randoma Zwanzig. Oczy te,

bezwstydnie radosne i młode, błyszcząły

pośrodku fotografii i niczym wiosna przeszywały serce niepokojem.

Dzielące ją od wiosny miesiące Marta spędziła we własnym pokoju, z nikim nie

rozmawiając i niczego nie

jedząc prócz sałaty. Błogo nieobecna, godzinami rysowała w zeszytach kółeczka, i

dopiero w nocy, gdy wszyscy już

spali, stawała przy parapecie i zaczynała śpiewać. Także codzienna prasa, którą

podrzucił jej ojciec, pozostawała

nietknięta, a ekran postawionego przy łóżku telewizora pokryła pajęczyna

skrajnej obojętności. O powrocie na studia

nie było nawet mowy.

Po kilku poważnych naradach z profesorem Pummą ojciec upewnił się w przekonaniu,

że Marta padła ofiarą

okrutnej sekty, która mózg jej wyprała z ambicji, a serce z rozsądku, i skłonny

był sprawę przekazać w ręce policji.

Matka jednak ze wstrętem odrzuciła tak radykalny wariant. Nie, nie, mój drogi,

przemocą nie usidlisz przemocy,

jakoś nie ufam temu Pum-mie, a poza tym, jaką mamy pewność, że Martusia rzeczywiście padła ofiarą sekty? Jaką?

Przecież nie czyta gazet, nie je mięsa, uśmiecha się głupkowato i od miesiący rysuje kólecza!

Żadne argumenty nie trafiały do serca matki. Co więcej, wraz z nadejściem wiosny sama pomogła Marcie

spakować walizkę, dorzuciła do niej, jak popadnie, kilka własnych drobiazków i podążając za swą intuicją, wraz z

córką wsiadła do pociągu, który wyglądał na podmiejski.

Od tej chwili słuch o matce na długo zaginął wraz ze słuchem o córce, a list, który przyszedł wraz z końcem

lata,

70

sprawił, że niepokój ojca ustąpił miejsca niewyobrażalnej wściekłości.

Jak okiem sięgnąć rozciągały się buraczane pola. Tego przedświt, punktualnie o trzeciej piętnaście, wszyst-

kich stu ośmiu mieszkańców wioski stawiało się u wrót zielonego barakowozu. Spod horyzontu leniwie wypęzalo

zaspane słońce, parowała ospale ziemia, a samotna, ogłuszona gwarem osa błędnie kołowała nad głowami skulonych

stokrotek. Krowy też nie bardzo jeszcze wiedziały, o co chodzi, i pomu-kując sennie, przestępowały z nogi na nogę.

Mieszkańcy wioski, których wczesna pora zdawała się nie dotyczyć, umilali sobie czekanie na sto osiem

radosnych sposobów. Jedni grali w kosi-łapci, inni ścigali się z babim latem, jeszcze inni nakłuwali się słomką lub

wyplatali z trawy zaręczynowe obrączki. A we wszystkich twarzach, nawet tych

bardziej bez trosk niż urodziwych,
odbijał się uśmiech wschodzącego słońca.
Krew pobierano zręcznie i szybko. Gdy ostatni mieszkaniec opuścił barakowóz,
słońce dochodziło ledwie do
zenitu, a pierwsze analizy w osłupienie wprawiły trzech pobladyłych pielęgniarzy.
Toteż gdy po tygodniu wyniki analiz
potwierdziło centralne laboratorium, wioskę otoczył kordon lekko
zdezorientowanej policji. Krótco potem, tym
razem już bez najmniejszego wahania, wszystkich stu ośmiu mieszkańców wioski
aresztowano.

Oto koniec historii, która jednak nadal szuka swojego początku.

Być może wszystko tak naprawdę zaczęło się z właśnie z chwilą, kiedy to ojciec
Marty, rozwścieczony nie
tylko kurio-

71

zalnym zniknięciem córki i żony, ale przede wszystkim listem, który otrzymał w
końcu lata, powiadomił o całej
sprawie lokalne władze. W liście owym, niewybaczalnie krótkim i napisanym, mimo
adresu zwrotnego, z zaświatów,
żona powiadamiała go o swym nieodwołalnym odejściu. Motywów swej decyzji nie
podała żadnych, a list trudno
nawet zreferować, gdyż składał się jedynie z dwóch psychodelicznych zdań oraz
siedmiu koślawych rysunków.

Nie to, co ustami wchodzi, lecz to, co je opuszcza, stanowi o mądrości. Jest nam
nareszcie dobrze, żegnaj.

Pod powyższymi słowami narysowany był roześmiany burak, pod którym ktoś inny
(zapewne Marta) nakreślił

niedbale pięć małych baloników i jedno, nieprzeszyte wprawdzie strzałą, ale ozdobione za to skrzydłami serduszko.

Już sam burak nie wzbudził dobrych konotacji na posterunku policji, jednak serce, które zamiast krwawić, radośnie unosi się w powietrzu, postawiło cały komisariat na baczność. Sprawę niezwłocznie przekazano wydziałowi do spraw narkotyków, który to wydział, acz obciążony nieludzko, sprawą zainteresował się natychmiast. Wkrótce do wioski wysłano trzech pielęgniarzy, którzy, w imieniu stosownych paragrafów, przetestować mieli krew mieszkańców na zawartość narkotycznych substancji. Testy wypadły ponad wszelką wątpliwość pozytywnie, co, ku zdumieniu policjantów, wywołało w wiosce falę radości. Radość ta jednak, jak się można domyślić, trwała nader krótko, bo nie wszystko, co pozytywne, zwykle pozytywnie się kończy.

Okazało się, że choć ogólny stan zdrowia mieszkańców wioski zaszokował swą niespotykaną doskonałością, krew ich skażona jest niczym miejska rzeka, tyle że nie fabrycznymi ściekami, ale czymś bez porównania straszniejszym - tetrahy-

72

drocannabinoidem typu delta 9, powszechnie znanym jako THC. To jednak nie wszystko. Prawdziwa tragedia zaczęła się z chwilą, gdy uzbrojony w kosy oddział wolontariuszy do walki z konopiami udał się w teren w celu skoszenia wroga. By-stroocy chłopcy w maskach przeciwgazowych przez sześć dni, centymetr po centymetrze,

na klęczkach przeczesali całą okolicę, przebadali podejrzane, czyli w tym wypadku wszystkie, krzewy, drzewka, roślinki i listki, opukali kamienie i spenetrowali nawet kretowiska. Konopi jednak nie znaleźli. Dopiero dnia siódmego w południe wolontariusz Jan, którego zdjęcie ukazało się potem na pierwszych stronach gazet, poderwał się z klęczek i wachając zabłoconą bulwę, wrzasnął: „Mam go!”. Był to burak, *beta vulgaris*, trywialne warzywo, które we wsi uprawiano tak jawnie, że wolontariusze nie zwrócili na nie najmniejszej uwagi. Wolontariusz Jan także omijał je obojętnie i jedynie za sprawą przypadku, kiedy to potknął się o korzeń i upadł, zarywszy w ziemię nosem, dopiero wtedy, natchniony specyficznym zapachem, ocknął się i pojął. Burak ów bowiem, jak się wkrótce okazało, wcale nie był zwyczajnym burakiem pastewnym, lecz niespotykaną dotąd i z legend jedynie znaną mutacją pospolitego buraka - burakiem mistycznym - *beta vulgaris bis*. Obecność cannabinoidu THC w bulwach *beta vulgaris bis* była cudem z pogranicza alchemii, jednak z wyjątkiem garstki spekulujących dziennikarzy nikt nie starał się jej nawet wyjaśnić. Tym, co interesowało wszystkich, były bowiem nie mgliste przyczyny, ale jasne fakty. A fakty same już w sobie okazały się wystarczająco pikantne. Nie tylko bowiem tajemnicę buraków kryła ziemia. Rozkopująca pole ekipa ze zgroszą natrafiła na ludzkie kości, które, poskładane do kupy, przebadane i poddane iden-

tyfikacji okazały się kośćmi czterech zaginionych przed laty holenderskich turystów. Ich tożsamość potwierdził krótko potem nadpalony notes, który wykopano w pobliżu kapliczki i który, pisany grupowo, pozwolił przynajmniej częściowo zrekonstruować przebieg tragedii. Jak wynikało z zapisków, turyści owi - student filozofii, dwóch pracowników Muzeum Technologii i jeden uczeń gimnazjum, wszyscy z Amsterdamu - dowiedzieli się w bliżej niewyjaśniony sposób o istnieniu legendarnego buraka i kierując się intuicją raczej niż mapą, udali się na poszukiwania. Po półrocznej monotonnej odysei poprzez smutek kartoflisk i pola kapusty puste w swym bezkresie od pustyń, wycieńczeni i niemal już bez nadziei, dotarli pewnego grudniowego wieczora do wioski, która na pierwszy rzut oka wydała im się tak niewybaczalnie potworna, że postanowili ją po prostu ominąć. To jednak, co ujrzeli po chwili, przerosło nawet amsterdamskie wyobrażenia na temat szczęścia. Oto sto osiem kobiet, mężczyzn i dzieci, odzianych jedynie w zielone wianki lub czapeczki z mechowych liści, płaśało beztrosko po chlupiącym błocie wokół przekrzywionej, obesranej przez ptaki kapliczki. Wiek ich nie dawał się nijak określić, jednak twarze, pozbawione właściwie rysów, promieniowały szczęściem, które oślepiało bardziej niż piękno. Mieszkańcy wioski powitali przybyszów śmiechem i tańcem i zaraz potem, wysuptykawszy ich z plecaków, uraczyli kubkiem gorącego czerwonego barszczu. Był to, jak wynika z opisu, jak najbardziej zwyczajny, typowy dla

tej części świata wywar z czerwonych buraków. Po wypiciu owego barszczu jednak z Holendrami zaczęło dziać się coś dziwnego, a potwierdzają to notatki, które od chwili wypicia barszczu pisane są już nie prozą, lecz jedenastozgłoskowcem.

74

Co było wielkie, matem się wydało. Królestwa zbladły jak miedź zaśniewiona. Co porażało, więcej nie poraża.

Niebiańskie ziemie toczą się i świecą. Na brzegu rzeki, rozciągnięty w trawie,

Jak dawno, dawno, puszcza łódki z

kory. To tylko próbka, która zresztą, jak większość notatek, okazała się nie

tyle wynikiem własnej inwencji, ile

cytatem, w tym wypadku słowami pieśni, odśpiewanej przez jednego z rozhasanych,

pląsających przy ognisku

mężczyzn. Mężczyzna ów, być może wójt, na pierwszych stronach porównany zostaje

złośliwie do armatniego

wyciora, dalej jednak, od drugiego mniej więcej dnia pobytu Holendrów w wiosce,

występuje już w ich zapiskach

wyłącznie pod imieniem Słońce. Jako na wiosnę pszczoły, kiedy Słońce dosiada

Byka, wysyłają młodzież Swą z ula;

same rojami całymi Schodzą się, boskim natarte nektarem, Wśród świeżej rosy i

światła łatają! Nie był to cytat

dokładny. Faktem jednak jest, że mężczyzna postrzegany jako Słońce pełnić musiał

w wiosce funkcję szczególną. To

on powitał Holendrów, to on uraczył ich barszczem, on, niejako w imieniu

legendarnych buraków, wskazał im drogę

do światła. A krótko potem to on, bez najmniejszych zresztą ceregieli,

zaofiarował im dozgonną gościnę.

Z gościny owej Holendrzy jednak nie skorzystali. I w tym momencie w miarę gładka

rzeka historii coraz

bardziej zaczyna się burzyć i przeradzać w dziki górski potok.

Holendrzy bowiem uczynili dwie rzeczy, z których druga była niemal

najstraszliwszą z możliwych. Korzystając

z błęgiego snu mieszkańców wioski i z ciemności pewnej styczniowej no-

75

cy, zakradli się na pole i wykopawszy z ziemi wszystkie niemal bulwy, tej samej

jeszcze nocy zbiegli z

burakami do Holandii. Jaka przyczyna nakloniła Stwórcę, Choć wypoczywa! Święty

cała wieczność, By wznieść

budowlę w Chaosie tak późno I w tak od Centrum oddalonym miejscu? To ostatni z

kalekich cytatów notatnika, a

przynajmniej ostatni, którego nie strawił ogień.

Ślad po Holendrach zaginął, a Random Zwanzig, przyklęknąwszy nad ocalałymi

bulwami, poprawił na głowie

czapeczkę z mechatych liści i powiedział: „Nie poddamy się do ostatniego

ziarna”.

Martę, która do wioski dotarła zupełnie przypadkowo, powitał niezwykle jak na

południową porę bezruch.

Dziurawe strzechy niczym grzbiety wyschniętych jeży sterczały sztywno nad

bezbarwnymi chatami, na czubku krzywej

kapliczki skamieniała wrona, a płoty, skąpane w skąnym słońcu, szczyrzyły

spróchniałe zęby w obumarłym uśmiechu.

Tylko woda bezgłośnie kapała z przerdzewiałej pompy. Zanurzając się w ciszę,

której nie zakłócał nawet nadmiar

przymiotników, Marta niepewnie ruszyła w stronę pierwszej z brzegu chaty. Przypadek to lustro, w którym fatalizm nakazuje odbić się przeznaczeniu, i w tymże to lustrze Marta ujrzała nagle o płot opartego chłopca. Był to chłop wyjątkowej brzydoty. Nóżki miał cienkie, tułów urągający proporcjom i tylko nos, wystający z bezkształtnej twarzy, wzruszał szlachetną linią grzbietu jednogarnbego wielbłąda. Jego małe oczy błyszczały nieuzasadnioną radością i wpatrzona w owe oczy Marta zaniósła się płaczem, który zwiastował szczęście. Stało się to z całą pewnością przed wypiciem barszczu i fakt ten zatrzęsł logiką całej opowieści.

76

„Ciemniaki, wrota percepcji otwieracie kluczem do konserw!”.

Spontaniczna wypowiedź matki Marty speszyła zajmujących się sprawą fachowców. W matkę bowiem, odkąd zamieszkała w wiosce, wstąpił spóźniony duch wolności, a duch ów, jak większość późnych dzieci, natchnął ją siłą właściwą alchemikom i szamanom. Słów jej wprawdzie niewzrozumiano, jednak przeczuwając w nich ziarno nieprzyjemnej prawdy, czym prędzej przypisano im cechy mądrości i kwestię następstwa zdarzeń uznano za nieistotną.

I słusznie. Nieważne przecież, czy odurzenie jest skutkiem miłości, czy na odwrót.

Ważne, że miłość Marty do Randoma Zwanzig nie tylko przetrwała okres swej inkubacji, ale też z każdym tygodniem rozwijała się coraz bardziej. Marta bowiem, podobnie zresztą jak potem

jej matka, zanurzywszy się w
buraczanej melodii, usłyszała nagle wszystkie fałszywe nuty swego życia.
Żywiąc się odtąd wyłącznie barszczem i sałatką z buraków, obie zmieniły się nie
do poznania. Nabrały
rumieńców, wyzwoliły się z nerwic, głowy ozdobiły wiankami z zielonych gałązek i
lekkim krokiem ludzi
bezw warunkowo szczęśliwych wyruszyły w podróż, która wcale nie musiała skończyć
się tak, jak się skończyła.
Korzeni szczęścia nie da się bowiem przesadzić, o czym nie wiedzieli, niestety,
Holendrzy. Holendrzy nie
wiedzieli też kilku innych niezwykle ważnych rzeczy, tego na przykład, że pełnia
księżycy jest porą najmniej
sprzyjającą kradzieżom. Owej fatalnej nocy, kiedy to wyruszyli z łopatkami w
pole, księżyc niczym kula wisił ponad
wioską i odbierał mieszkańcom spokojny zazwyczaj sen. Przekopawszy ponad połowę
pola, Holendrzy

77

przysiedli na wypełnionych burakami workach i odurzeni wszechobecną, sphywającą
z nieba i parującą z ziemi
błogością, nie zauważyli nawet, że w jednej z chat zapaliła się lampka. Nie
dostrzegli też zapewne zbliżającej się do
nich postaci.
Dokładny przebieg wydarzeń na zawsze pozostanie już w sferze domysłów. Szczerba
na przedzie czaszki i
zaciśnięte na glinianym uszku palce wzniesionej dłoni świadczą o tym, że
frontalnie zaatakowana ofiara uzbrojona była
jedynie w kubek i upadła, nie zdążywszy nawet odparować ciosu. Podczas

przesłuchań Random Zwanzig zapewnił,
że rozsypane buraki niczym ścieżka zaprowadziły do miejsca, w którym Holendrzy
parkowali swój samochód. W

miejscu tym znaleziono tylko pusty, porzucony w popłochu worek.

I tutaj opowieść miałaby szansę się zakończyć, jednak to, co mogło być końcem,
okazało się jej kolejnym
początkiem.

Desperacka kradzież przytłacona zbrodnią stała się fiaskiem nie tylko moralnym,
ale też handlowym, w

Holandii bowiem buraki zupełnie straciły swoje właściwości. Przesadzane z jednej
gleby w drugą, nawożone,

naświetlane, krzyżowane z tulipanem i podlewane słonecznikowym olejem,

pozostawały tym, za co je zawsze i

wszędzie uważano: *beta vulgaris*, wulgarnie pospolitym burakiem.

Nie wiadomo do końca, co skłoniło załamanych Holendrów do kroku tak bardzo
nieroztropnego, jak powrót

do wioski. Zdania na ten temat są podzielone. Być może rzeczywiście zamierzali
wydrzeć chłopom domniemaną

tajemnicę uprawy buraków. Być może na zawsze już zamierzali zamieszkać w owej
wiosce. A może też być, że po

prostu, jak na zbrodniarzy przystało, musieli powrócić na miejsce dokonanej

przez siebie zbrodni. Jak było naprawdę,

nie dowie się już nikt, chłopci bowiem rozwalili Holendrom głowy, nie pytając o
przyczynę po-

78

wrotu Sprawiedliwość została więc wymierzona, gościnna ziemia przyjęła ciała i
życie wioski na powrót

ruszyło swym błogim wolnym od nieprzyjemnych zakłóceń rytmem.

I byłoby tak zapewne do dzisiaj, gdyby u schyłku lata pewien urażony ojciec nie powiadomił policji o

zaginięciu żony i córki Krótko potem buraki uległy konfiskacie, a adres wioski, podobnie jak dalsze losy jej mieszkańców, objęty został tajemnicą państwową.

Jedynie profesor Pumma, pokazując pewnego dnia studentom wtopiony w góry budynek, uśmiechnął się głupkowato i powiedział: „Oto Oktagon, wersja Pentagonu zbudowana na buraczanych polach”.

Zdarzyło się to w południowej Korei, dając początek historii którą być może ktoś kiedyś opowie. Nie będzie to jednak Pumma, gdyż ślad po płaskodupym profesorze zginął nagle wraz ze śladami innych bohaterów.

Waiting underground
(transgresje)

W chwili gdy Dziewicza Cierpliwość poczuła łaskotanie pomiędzy trzecim a czwartym zębem, łoże zapachniało winoroślą, z parapetu poderwała się wrona, a ołówek, wysunąwszy się z dłoni śpiącej nad rebusem położonej, wbił się w żarówkę i spowodował spięcie. Poród odbył się więc przy świecy, a fakt, że dziewczynka wyłoniła się z boku matki, zgodnie uznano za przywidzenie wynikające z ciemności. Na karb ciemności złożono też wszystkie inne, narodzinom towarzyszące zjawiska, jak deszcz spadających z sufitu hieroglifów, śwąd palonych kajetów, rozdzierający szloch wierzby, rzenie skrzydlatego kucyka oraz hejnał,

odegrany na trąbie przez smutnego

słonia i urwany z chwilą, gdy w drzwiach sali pojawił się lekarz dyżurny.

Ciężkie dziecko, powiedział lekarz, ważąc dziewczynkę w rękach.

I do tego marcowe, westchnęła położna.

Ale za to wyjątkowe, jedyne, najśliczniejsze pod słońcem, najmądrzejsze,

najzdolniejsze, stworzone do

celów, o jakich wam się nie śniło, zagrzała Dziewicza Cierpliwość i wyrwawszy

lekarzowi dziewczynkę, oznajmiła:

Na imię będzie mieć Mysi Pysio i tak jak ja zostanie kiedyś farmaceutką.

80

W chwili gdy Dziewicza Cierpliwość wyrzekła te słowa, paznokcie dziewczynki

zagięły się w szpony, oczy

zapłonęły, a z ust trysnął gejzer przekleństw tak celnych w swej metaforze, że

serce lekarza zamarło, a twarz położnej

rozjaśnił dziwny uśmiech.

Tożsamość podążyła za imieniem. Niefortunnie nadane imię sprawiło, że Mysi Pysio

była

dziewczynką pulchną, rumianą, i podejrzanie grzeczną. Miała wielkie oczy, długie

rzęsy i od bawełny bielsze loczki,

pokornieykała wpychane jej do gardła proteiny, niczym gęś hodowana na pasztet,

i bez cienia wstrętu pozwalała się

całować i szczypać rozczulonym sąsiadkom i ciotkom. Mówiąc krótko, Mysi Pysio

była lalką idealną i przyszłość jej

malowała się pastelowo.

Cudu przemiany dokonać zdołała dopiero miłość. Była to miłość pierwsza, która od

następnych różniła się

tym, czym od maj a różni się maj.

Mysi Pysio zbladła i schudła, czarny diabeł osmolił jej loczki i duszę, i snując się po świecie pozbawiona nie tyle protein, co sensu, Mysi Pysio przejrzała się w oczach wątlęgo cheru-binka i oznajmiła: Od dziś jestem Patti Smith.

A ja jestem od dziś Elvis, powiedział chłopiec. Elvis Costello. Przymierze zostało zawarte, a krótko potem Patti Smith napisała swój pierwszy wiersz. Słowo „ciemność” pojawiło się w nim razy osiem, „dlaczego” pięć razy, trzy razy słowo „dupa” (w miejscowniku) i po trzynaście razy słowa „nigdy” i „zawsze”. Wiersz nosił tytuł „Miłość” i Elvis Costello ułożył do niego muzykę, która zagłuszyła wszystkie słowa.

Niezgoda na niezgodę jest najbardziej ślepą z uliczek i dlatego w pewnym wieku oraz w pewnym kulturowym kontekście

81

chwile swych zwątpień topili w oceanie wypijanej nad książką herbaty. W przerwach między czytaniem oddawali się uczonym debatom, których treść, bardziej przerażając niż śmiejąc, zainspirowała skuloną pod stołem

Patti Smith do napisania następującego zdania: Waiting underground. najbezpieczniejszą z opcji dla zbuntowanych (lecz nieuzdolnionych technicznie) dzieci zdaje się być, obok psycho- i socjologii, szlachetna filologia polska. Desperacki ów wybór jest na równi zbawienny i zgubny. Dzieci nie staczają się już w otchłanie marihuany, przestają też zadawać się z kontrowersyjnym elementem twórczym w rodzaju malarzy, poetów, kultowych psychiatrów, właścicieli plantacji maku, modnych

schizofreników, animatorów kultury o
pedofilskim zacięciu czy punkrockowych muzyków. Przedpołudnia na Starówce tracą
nagle urok, gitara butwieje w
garażu, a straszne pytanie, czy Sid Yicious umiał czytać i pisać, z potęgą
śmieszności burzy stary świat u jego
fundamentów. W miejscu starego jawi się jednak świat nie tyle wspanialszy, ile
świata tego nowa, bardziej
wyrafinowana negacja.

Public enemy numer 1 - nieokreślona bliżej nicość - precyzuje teraz swe mgliste
oblicze, bunt znajduje swój
przedmiot i niedawne dzieci wściekłość swą wyładowują oto na wrogu jak
najbardziej konkretnym. Niezgoda na
miałość życia ustępuje miejsca niezgodzie na fonem, irytuje płec rymów, do boju
zagrzewają sekstyny, triolety i
safickie strofy. Jeśli uwierzyć, że wiersz Tuwima to czterostopowiec jambiczny
hiperkatalek-tyczny, a stopy (też
cztery, i to pierwsze) Konrada Wallenroda to daktyle, radość czytania poezji
minąć może na długie lata i wszystko, co
pozostanie w zamian, to smutek, okulary i tęsknota za utraconym rajem.

Patti Smith w nieszczęściu swym miała szczęście. Nic nie odrzucało jej tak, jak
czytelnie. Pożółkłymi (od
skrętów) palcami wertowała pożółkłe (ze starości) dzieła, treść ich jednak
obchodziła ją mniej niż skupione oblicza
zacytanych kolegów. Koledzy owi - świetlana przyszłość szkolnictwa, nadzieja
literatury tudzież postrach
dorastających pisarzy - rzadkie

Podziemia są lustrem miast.

Dalaj Lama to król Tybetu. Nie posiada on korony, ale posiada pałac, z którego uciekł czterdzieści lat temu.

Dalaj Lama to zwykły mnich, którego niezwykłość polega na tym, że od czterdziestu lat powtarza jedno i to samo zdanie: „Czekam w podziemiu”.

Podziemie Dalaj Lamy to mekka dla spragnionych światła dyplomatów, artystów i polityków. Wstępują oni do królestwa umysłu w krawatach, bo tylko polscy górale odcinają krawaty wstępującym do chaty gościom. Nie lubią i tyle, i co więcej mogą sobie na tę ekstrawagancję dziś pozwolić. Polscy górale dumni są ze swej dumy i sprytnie umieją ją sprzedać, a ich muzyka i taniec sprawiają, że turyści z Bawarii czy Ameryki bez słowa skargi pozwalają sobie odcinać krawaty i przytupując potem w rytm skrzypek, w zachwycie spijają miody z ręcznie malowanych kubeczków. Górale tybetańscy mają wiele wspólnego z góralami polskimi i też umieją handlować. I Pa-
pież, i Dalaj Lama sprzedają się wszak znakomicie. Jest tylko jedna różnica: górale wolnej Polski sprzedają wydmuszki, a tybetańscy górale w kolorowych skorupkach przemycają przesłanie. Przesłanie to brzmi: Free Tibet.
Turystów się tam poważa, tak jak w zniewolonej Polsce poważało się gości zza kurtyny zwanej żelazną. Jak będzie w wolnym Tybecie, nie wiadomo. Możliwe, że z chwilą gdy Tibet będzie już free, formalne różnice też zanikną. Będzie

życie zwane normalnym,

83

handel wydmuszkami, parada zbudzonych z długiego snu pragnień i huczne odcinanie krawatów.

I Dalaj Lama, cicho medytujący w podziemiu.

Na imię masz Transcendentalna Radość, powiedział stary Lama, zarzucił Patti

Smith na szyję biały szalik i

przytknąwszy jej do ciemienia posążek Buddy, szepnął: Pisz i pamiętaj, że

wszystkie istoty, nie wyłączając krytyków,

były kiedyś twoimi matkami.

Transcendentalna Radość poczuła, jak serce wypełnia jej transcendentalna radość

i na tę okoliczność napisała

opowiadanie. Było to opowiadanie krótkie, rytmiczne i skondensowane tak bardzo,

że czytać je dawało się wyłącznie

na raty, po jednej literze przed snem.

Kształcą nie tylko podróże odbywane w wyobraźni i choć amerykański

transcendentalista zgłosiłby tu veto,

Transcendentalna Radość przekonała się o tym empirycznie.

Przemycając w sercu szczątki pewnej Zbyt Ciężkiej Miłości, opuściła Lotnisko

Indiry Gandhi w New Delhi i

zanurzwszy się w nieruchomym powietrzu, zastygła wraz z innymi, w bezruchu

zastygłymi ciałami. Nie czekała na nic i

nie miała planów. Jako że mapy także nie miała, nie bardzo wiedziała, gdzie się

znajduje, a nie wiedząc, że tygrys je

ludzi, przed tygrysem nie czuła lęku. Ziemia wprawdzie była, tak jak oczekiwała,

czerwona, poza tym nic jednak nie

zgadzało się z jej wyniesionymi z wierszy Rabindranatha Tagore wyobrażeniami o

Indiach. Napatrzywszy się do syta
na bezruch, Transcendentalna Radość wytarła mokre czoło w rękaw koszulki,
zarzuciła na plecy plecak i ruszyła w
kierunku czegoś, co trafnie uznała za autobus. Autobus nie miał ani szyb, ani
kierowcy,
miał jednak metalowe siedzenia, i Transcendentalna Radość, wcisnąwszy się w
wąską przestrzeń między
Sikhem a kozą, spoczęła na rozżarzonej patelni. Cóż lepiej leczy cierpienia
duszy, niż cierpienia ciała! Jakże znikoma
staje się rana w sercu, gdy ogień trawi pupę! Transcendentalna Radość ból
przyjęła z godnością wytrawnego ascety,
a że była przy tym osobą ciekawą pejzaży, wyjęła wyniesioną z samolotu
buteleczkę dzinu, wymieniła ją na miejsce
przy oknie i czując w sercu postępującą lekkość, z radością spojrzała w
przyszłość.

Powiedz, co myślisz o Indiach, a powiem ci, kim jesteś. Indie to moje własne
cierpienie, posmutniał mnich
Thomas Merton.

Indie ta Maitreji, zarumienił się pisarz Mircea Eliade. Indie to kraj sztuki,
poezji, tańca i muzyki,
doświadczenie równie fascynujące i nowe jak Japonia, rozpromienił się dyplomata
Octavio Paz.

Indie to obszar obcy naszej kulturze śródziemnomorskiej, burknął Józef Pszczoła,
z zawodu Polak.

Nie głaskać dzieci, dezynfekować krzesła, przytwierdzać się na noc łańcuchem do
łóżka, za dnia poruszać się
wyłącznie grupami i pod żadnym pozorem nie odpowiadać uśmiechem na uśmiech,

wyczytała Transcendentalna

Radość w niemieckim przewodniku i zrozumiała, że dni jej są policzone.

O Wandzie Rutkiewicz, R.I.P., w Himalajach było niegdyś głośno. Ośmiotysięczniki

zdobywała jeden po

drugim, ale w Polsce jej z pewnych względów nie lubiano. Polscy koledzy--

himalaiści wyuczili dzieci nomadów

formułki proszącej o cukierki. Powiedz: „Wanda cipa”, i cukierek twój, dziecko.

Wanda cipa, Wanda cipa, krzyczały

więc dzieci na widok białych

85

kobiet i być może usłyszała to kiedyś i Wanda Rutkiewicz. Tego nie dowie się już

nikt, zdanie to bowiem

przeżyło Wandę.

Wróciwszy po pół roku z Indii, Transcendentalna Radość napisała kolejne

opowiadanie. Nie była to jednak

relacja z Podróży na Wschód. Było to krótkie opowiadanie o tym, jak Wanda

malowała obraz. Obraz był najpierw

wielobarwny, potem ubyło w nim czerwieni, potem zieleni, potem błękitu i czerni,

a w końcu nawet bieli. Pozostała

pustka, gościnna przestrzeń, w której migotały formy i treści, i sny, i zamiary,

i zdumienie ulotnością istnienia, i

ulotność tego zdumienia.

Skąd jesteś, zagadnął młodzieńki kelner w hoteliku w Darjeeling.

Z Polski, odparła z dumą Transcendentalna Radość, a kelner wyciągnął dłoń i

prosząco wyszeptał: Wanda

cipa...

Wanda to imię, które w kraju spadkobierców kultury śródziemnomorskiej kojarzy

się nie tyle z tragiczną

himalaistką, ile z tragiczną królową z pewnej polskiej tragicznej legendy.

Transcendentalna Radość, będąc typową

Polką, utożsamiała się z obiema tragicznymi postaciami.

Jestem Wanda Wanda, pojęła i z godnością przyjęła swój tragiczny los.

Prędeż się więc utopię, niż poślubię Niemca, zawołała, cytując królową Wandę

i, podążając jej śladem,

rzuciła się do rzeki Wisły. Pożałowała jednak swej decyzji. Woda była zimna, a

stojący na moście narzeczony

zawołał: Wanda cipa! Nie czytałaś Heraklita?

Przyjmijmy, że zawstydzona Wanda Wanda wyszła z wody, poślubiła Niemca i

stworzyła wspaniały

precedens w polsko-niemieckiej historii. Jak bowiem było naprawdę, nie wie nawet

policja.

Spis treści

47 na odlew 5

Buraki66

Waiting underground (transgresje).....80